

XXIX OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 28 LISTOPADA 2014 R.





ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI
LĘBORK NEWS.PL
TV KANAŁ 6



* * *

*odliczam moje jesienie
z kalendarza lat
strumieniami gwiazd
gasną marzenia
niespełnione
jak liście z drzew
oparty o wiarę w ciebie
zapalam isierki twoich uczuć*

Mieczysław Stryjewski

J U R Y

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Daniel Odija

Bożena Ugowska

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Agnieszka Marek (Bielsko-Biała)

II nagroda Rady Miejskiej w Lęborku
Dominika Kaszuba (Zbychowo)

III nagroda
Marek Brymora (Kalisz)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Andrzej Chodacki (Parczew)

II nagroda Rady Powiatu Lęborskiego
Krzysztof Winicjusz Jezierski (Olsztyn)

III nagroda
Krzysztof Chronowski (Wrocław)

NAGRODY SPECJALNE:

Burmistrza Miasta Lęborka
Małgorzata Borzeszkowska (Lębork)
Leszek Wołoskiuk (Redkowice)

Nagroda im. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Maria Kruszewska (Mińsk Mazowiecki)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Wanda Lew-Kiedrowska (Stężycza)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Elżbieta Bugajna (Goręczyno)

NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

CZESŁAW MARKIEWICZ

PIETA W BARTERZE

Matka nie pożyczyła w życiu złotych. Ani komuś, ani od kogoś. Żeby chociaż raz zapukała do sąsiadki, z prośbą o pożyczenie szklanki cukru. Nigdy. Umarła w odpowiednim momencie, szczęśliwa, że nie musiała tego wszystkiego oglądać. Jego życia na „wieczny kredyt”.

Dopiero po śmierci matki zaczął się jej przyglądać. Całe życie pracowała w sklepiku zakładów tkackich. Sprzedawała resztki przemysłowe: kawałki elan, tweedów, elanobaweln, welen. Wszystkie jego spodnie, budrysówki, kurtki, później garnitury były szyte z tych resztek. Kiedy matka przeszła na emeryturę, a sklepik zlikwidowano, zaraz potem padł zakład, chociaż już nie kupowała tanich resztek, największa, dolna półka w trzydrzwiowej szafie i tak zawalona była zapasami materiałów. Tym bardziej nie ubywało ich po jej śmierci. Obawiał się, że zostanie jeszcze sporo nawet po jego śmierci. Sobie też matka nigdy nie kupowała niczego gotowego. Wszystko szył zawsze ten sam krawiec, etatowy pracownik zakładów tkackich. Ćwierć miasta pracowało w tych zakładach. Wszystkie dobrodziejstwa prostego, bezpiecznego życia płynęły z tych zakładów. Matce też coś skapnęło, niewielka, ale pewna emerytura. Dlatego chętnie i często używała słowa „stabilizacja”.

Jak zdjęcia w rodzinnym albumie przesuwali się przed oczami drobne zdarzenia, bardziej skomplikowane sytuacje. Widział ją siedzącą przy stole w kuchni, jak uzupełnia swój dziwny, najdziwniejszy na świecie zeszyt. Miał trzydzieści dwie kartki. Pierwotnie miał standardowo sześćdziesiąt kartek w kratkę. Matka powyrywała zbędne, bo potrzebowała tyle, ile było dni w miesiącu. Ta dodatkowa kartka, kiedy miesiąc miał trzydzieści jeden dni, była na oszczędności. Każdą kartkę zaginała w trójkątną kopertę, do każdej koperty wkładała stu złotych, czerwony banknot, tylko taki kolor, taki nominalnie zapamiętał. Była to dzienna kwota na podstawowe wydatki. Na specjalne zakupy, buty na zimę, wyprawki szkolne i w ogóle ciuchy, przeznaczała premie, nagrody, dodatkowe wypłaty za nadgodziny, z których zwykle rezygnowała, chcąc spędzać jak

najwięcej czasu z jedyakiem. Każdego dnia, wieczorem, w okolicach emisji dziennika telewizyjnego przeglądała koperty, jeśli w aktualnej coś zostawało przekładała do tej na trzydziestej drugiej stronie. Prawdopodobnie nie zdarzyło się, żeby przekroczyła zawartość pojedynczej koperty w odpowiednim dniu. Pieniądze z koperty z trzydziestej drugiej strony przeznaczała na luksusy. Miał na kino, zabawki, słodczyce, później na książki, płyty. Dzięki temu zeszytowi niczego mu nie brakowało.

Zeszyt został, matki nie było. Nawet nie spróbował z niego skorzystać. Nigdy nie włożył do którejś z kopert choćby grosza, niechby na szczęście, jak łuskę świątecznego karpia do portfela.

Od zeszytu zaczął rozpamiętywanie. Im bardziej brnął w pozostawionych przez matkę rachunkach, zapiskach, zdjęciach, niezidentyfikowanych papierzyśkach, tym więcej magicznych słów wylaziło z pamięci. Dopasowywał je do przedmiotów, zdarzeń, wypowiedzianych zdań, wyznań, pojedynczych słów. Od słowa do słowa odkrywał szare tajemnice świata, który zamiast odejść razem z matką, przeniósł się nagle, z dnia na dzień do jego świata. Jedno z magicznych słów matczynej rzeczywistości to „ORS”. Dopasował je bezbłędnie do odkurzacza, pralki, telewizora, lodówki. Po co trzymała karty gwarancyjne wszystkich tych sprzętów? Każda z nich mogła być cennym nabytkiem pierwszego lepszego archiwum. Może wydawało się jej, że skoro potrafi utrzymać całą tę rupieciarnię w sprawności przez kilka dziesięcioleci, to może ktoś władny to doceni i uwzględni ewentualną, nie daj Boże, usterkę, choćby po stu latach? Wszystko to kupiła na raty. I nigdy już tego nie powtórzyła. Jak trzeba było, wzywała specja, cudotwórcę, który to i owo, w tym i owym przerabiał, tak, żeby Gierek nie kłócił się dajmy na to z Mazowieckim. Siedział, samotnie, gapiąc się w ekran „Klejnoty”, sterzącego na ciągle sprawnych, chociaż wykręcanych nóżkach, jeździł po pustym mieszkaniu obłym jak „Volkswagen ogórek” odkurzaczem „Alfa k II”, wrzucał już tylko swoje brudy do bębna teslowskiej super pralki z własnym podgrzewaczem wody i wmontowaną w korpus wyzmaczką, wkładał kielbasę do lodówki adekwatnej marki „Kra” - ożywiając złośliwie matkę. Pod prąd, albo w ogóle omijając nurt, ruchy społeczne, bezkrwawe rewolucje, jesień ludów, wstrzymywała w swoich czterdziestu dwóch metrach kwadratowych lokatorskiego świata bieg historii. Upadła Jałta, runął Mur Berliński, rozpadły się Sowiety, a ona trwała przy swoim „Klejnocie”, „Krze”, „Alfie k II”. Szanowała pierwsze, najpoważniejsze zakupy jak dziewictwo. No i część jej pamięci. Wielkie dzięki za taki spadek. Z szacunkiem, ale po śmierci matki dopadła go, jak nieprzebyta w dzieciństwie odra, anachroniczność swojego żywota. Był jednym z eksponatów panoptikum mamusi.

Zrozumiał nawet tajemnicę jej trzydziestodwukartkowego zeszytu. Polegało to na uprzedzającej wyciąganie banknotów analizie cen. Matka skutecznie

wprowadzała w życie zasady gospodarki planowej. Znała ceny każdego, najdrobniejszego artykułu. Kupowała tylko to, na co było nas - tak mówiła - stać. Nie było szans na jakąkolwiek improwizację. W dzieciństwie zupełnie tego nie rozumiał, kiedy dorósł, nienawidził tych uwag, bo uświadamiały mu granice, które niechętnie określał jako egzystencjalne. No i ta liczba mnoga. Nie koncentrował uwagi na tym, na co go stać, na co nie. Odnosił jednak wrażenie, że dla matki było to esencją życia. Skoro jej życia, mógł na to machnąć ręką. Po jej śmierci, nie miał już komu wcisnąć banału egzystencji.

Jak robaki unieśmiertelnione w bursztynie, wydłubywał z pamięci dowody esencjonalnej egzystencjalności matki. Mścił się, nazywając to tak, jakby nigdy przy niej tego nie nazwał. Bała się takich słów. Jak nie rozumiem słów, to one ukrywają być może zło. Tak się broniła. Wysyłała go do sklepu na przykład po makaron. Starał się zapamiętać wyłącznie, że mają być kolanka. Dla dziesięcioletka było to niewyobrażalnym wysiłkiem. Prosił o kolanka i dostawał kolanka. W sklepie nikt nie pytał, jakie to mają być kolanka. Przynosił do domu kolanka. Matka nie przyglądała się kolankom, analizowała wyłącznie paragon. I robiła wykład. Makarony są dwu, trzy i czterojajeczne. Zapamiętaj, bez względu na to, czy kupujesz kolanka, świderki, nitki, wstążki, czy tam Bóg wie co, zawsze proś o makaron dwujajeczny. Był przekonany, że ten dwujajeczny jest po prostu najlepszy, skoro mama tak mówi. Istota ukryta była w cenie. Odnosił więc do sklepu czterojajeczne kolanka i wymieniał na dwujajeczne, tańsze o kilkadziesiąt groszy.

Udało mu się łamać rygory trzydziestodwukartkowego zeszytu. Raz matka zmiękła, a on zmanifestował, że ma fantazję i potrafi bronić marzeń. Miał kupić niskosłodzony dżem śliwkowy. Matka kilka razy powtórzyła „niskosłodzony”. Rozumiał, że skoro „niskosłodzony”, to odpowiednio tańszy. O pomyłce nie było mowy. W „niskim słodzeniu” nie ukrywała się żadna dwu albo czterojajeczna tajemnica. Na nieszczęście trafił do „Samu”. Mógł więc sam zdecydować, który słoik włożyć do koszyka. Na półce roilo się od dżemów niskosłodzonych. Wydawało się, że wszystkie, truskawkowe, malinowe, morelowe, jagodowe, a nawet pomarańczowe są niskosłodzone. Prawie żadnych, rażących różnic w cenie. Matka mogła być spokojna. Tymczasem na jednej z półek natknął się na rządęk fantazyjnych słoików z wysokosłodzonym dżemem figowym. Nigdy jeszcze nie jadł takiego dżemu, w ogóle nie znał smaku fig, w jakiegokolwiek postaci. Nie zawahał się, włożył do koszyka słoik wysokosłodzonego dżemu figowego, nawet nie zerknął na cenę. Zapłacił podwójnie, jak za dwa słoiki niskosłodzonego dżemu śliwkowego. Miał dużo szczęścia, był poranek, matka dopiero otworzyła odpowiednią kopertę w trzydziestodwukartkowym zeszycie, wieczorem albo po południu dysponowałby mniej więcej wyliczoną kwotą. Był zdesperowany, nawet się nie bał reakcji matki, zresztą nigdy nie podnosiła głosu, stanowczym

piano kazała odnosić chybiony zakup. Tym razem, powiedział, nie. Krzyknął, nie! Matka popatrzyła, pomilczała, co było najgroźniejszą formą jej wzburzenia, i odpowiedziała, dobrze, będzie na święta. Był koniec września. Cekał prawie trzy miesiące. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia dorwał się do słoika, opróżnił dwoma palcami, wskazującym i serdecznym cały słoik wysokosłodzonego dżemu figowego. Mdliło go jeszcze przez cały drugi dzień Świąt. Matka nic nie mówiła.

Wymienianie makaronu czterojajecznego na dwujajeczny, ceresu na margarynę, oleju z pestek winogron na olej rzepakowy, kawy rozpuszczalnej na zbożową, cukru w kostkach na kryształ, każda ponowna wizyta w sklepie upokarzała go bardziej niż wszystkie inne upokorzenia dzieciństwa. Błakał się pod sklepami rozdygotany, z wypiekami na twarzy, wstydził się tego zwracania bardziej niż sporadycznego moczenia prześcieradła w nocy. Gdyby chociaż raz wymienił coś taniego na coś odrobinę droższego, zrobiłby to całkiem bezwstydnie.

Nie musiał za długo rozdrapywać banalnie pamięci, tamto bolało bardziej, niż pożyczanie pieniędzy. Jeśli po śmierci matki coś go bolało, to tylko to, że za te jego sentymentalne, pompatyczne odkrycia ona musiała zapłacić aż taką cenę. Dopiero musiała umrzeć.

Zasadnicza jak teoria względności, praktyczna jak nóż fiński, chcąc dla niego dobrego, wygodnego życia, powinna kształcić go na jakiegoś inżyniera, lekarza, prawnika. Często mówiła, będę cię kształcić na tego i tego. Nigdy „ten” i „ten” nie był inżynierem, lekarzem, prawnikiem. Żadne jakieś tam zawody politechniczne, ścisłe, organiczne. Chciała żeby był humanistą, pisał wiersze, powieści, sztuki teatralne, na końcu pojawiły się scenariusze filmowe. Nie zdążył zapytać, dlaczego tak? Dlaczego mam, do cholery, być poetą? To dobre dla gejów i przyszcztatych panienek. Teraz mógł odpowiedzieć za nią. Miał pewność, że odpowiedziałaby tak: „Widzisz synu, jak już wszystko przeczytasz, jak poznasz losy wszystkich tych ludzi z całego świata, którzy żyją w tych wszystkich książkach, w tych wszystkich zaświatach, to będziesz wiedział kiedy zapłakać, kiedy się zaśmiać, kiedy milczeć, kiedy krzyczeć, będziesz wiedział jak masz się zachować w ludzkich i nieludzkich sytuacjach. I nawet jeśli ten normalny, rzeczywisty świat będzie beznadziejny, nie do zniesienia, to ty będziesz umiał wymyślić swój, własny, z tymi wszystkimi bohaterami, których poznałeś z tych wszystkich książek. Jeśli nie będziesz miał żadnej swojej, ciekawej historii, to będziesz umiał ją sobie zmyślić”.

Nie zrealizował naiwnych ambicji matki. Nawet gdyby został poetą, zgoda, mógł spróbować. Wszystko da się sprzedać. Mógłby stanąć na ulicy, w jakimś ruchliwym miejscu, z czapką u stóp i wykrzykiwać swoje wiersze. I co? Musiał walczyć, utrzymać się jakoś na powierzchni. Miał bronić się wierszami? „Przypierdolić wierszem”, jak napisał w swoim tomiku młody, miejscowy poeta? On

też nie potrafił się bić, oni potrafili być pięknie bici. Ale co matka mogła o tym wiedzieć? Umarła. Dopiero po jej śmierci miał ochotę napisania czegoś. Zaswędziły go strupy po pierwszych próbach w przeszłym ćwierćwieczu. Zresztą czas nie miał już żadnego znaczenia. Zegar stanął, gdy matka nachylając się przy rozkładaniu kanapy padła na podłogę z wylewem krwi do mózgu. Chciał coś zrobić dla niej, nie myślał o epitafium, dać jej satysfakcję, może nie było za późno. Kiedyś dedykował matce wiersz, nigdy go jej nie pokazał, osiemnastoletniemu autorowi wydał się pretensjonalny, to był najwłaściwszy moment żeby go jej przeczytać, może reszta wcale nie okaże się głucha: „mógłbym ją nazwać każdym imieniem. to ona wymiata codziennie. kurz z moich oczu. to ona usypia mnie zbyt wcześnie. pomarszczonym policzkiem. w ustach nosi niepoczytalną książeczkę. do nabożeństwa. układa na półce. słońca i małe buciki z pobijanymi kolanami. niedokładnie słuchana. postanowiła mówić tylko w snach. kiedy otwiera drzwi to jakby. powiew tlenu rzuciła uduszonemu. ubolewa nad każdym samobójstwem. podpełzającym z nocnych wypraw. mojego mózgu ona chce. żebym zawsze naśladował indian. z książek które czytam. zamiast słuchać jej niemych opowiadań. drukowanych między kotлетem schabowym. a zupą pomidorową. .kim będzie kiedy herbata. na nocnym stoliku wystygnie. do szpiku podłogi”.

Męczyła go ta humanistyczna tęsknota. Matki. Skąd to miała? Rozumiał, atmosfera sklepiku z materiałami, jakby bławatnego, Herbert, wałkowany w szkole, jak Mickiewicz... Nie czytała Schulza, Herberta nie rozumiała. To musiało ją dopaść wcześniej. To mógł być mężczyzna. Żywy, z krwi i kości. Ot, tak sobie nie zaszła w ciążę. Musiała kochać. Oczywiście zapytał o ojca. Na to pytanie nie odpowiem, był i zniknął, gdyby nas chciał, odezwałby się. Powiedziała. Nie użyła słowa „kochał”. Był na tyle dorosły, znał matkę, jej powściągliwość, że więcej do tego nie wracał. Nie tęsknił do ojca, nie mógł tęsknić do czegoś, czego nie znał. Chociaż wszyscy normalni ludzie dokładnie odwrotnie, tęsknią do tego, czego nie znają. Wszystko wskazywało na to, że był po prostu inny.

Normalnie powinno być tak, że człowiek coś wie, wie czego chce, co chce robić, kim chce być, niekoniecznie wiedząc, kim jest. On nigdy nie zastanawiał się nad tym. Czekał. Matka umarła. Czekanie straciło sens, miało sens gdy żyła matka. Po jej śmierci nie poczuł się ani trochę mniej samotny. Prawdopodobnie matka nie miała z tym nic wspólnego, tak samo, jak nieistniejący w jego świecie ojciec. Nie miało znaczenia, że zapamiętał ciepło matczynego uda, którym przytuliła go w łóżku, kiedy jako dziesięciolatek śmiertelnie gorączkował przy zapaleniu płuc, wydawało się, że to matka ma te czterdzieści stopni gorączki, że tą temperaturą ratuje mu życie, przykrywając go ciepłym, aksamitnym udem. Ojciec nie był mu do niczego potrzebny.

Beznamiętnie pomyślał, że on mógł, powinien być ojcem, nawet dziadkiem,

dać początek krzywej linii jakiegoś życia. Ale po śmierci matki został bez środków do życia. Dosłownie. I alegorycznie. Jeśli już miałby żyć na „własny rachunek” – musiałby wziąć jakiś niekończący się kredyt. Ale takiego kredytu nie udzieliłby mu nikt. Nawet sam Pan Bóg.

I NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

AGNIESZKA MAREK

IN SPE

To będzie świat nieodebranych połączeń, tęsknot zbyt lekkich,
by utrzymać nigdy niezdefiniowane. Jeszcze masz nadzieję –
że pierwsza litera alfabetu nie stanie się ostatnia, nie ucieknie

poza nawias. A ona ciągle się waha: z ręką zatrzymaną tuż nad
zbyt mocno wibrującym telefonem (choć serce słyszać znacznie
wyraźniej), z bólem pomiędzy zaciśniętymi ustami. To będzie

moment głośnej ciszy, echa słów, które nie padły, bo zwyczajnie
zabrakło czasu (a może – przyznaj – chęci?). I może tylko żałować,
odmieniać przez przypadki nic już nieznaczące miłość, próbując

tu i ówdzie zmieścić jakiś zaimek, coś więcej niż ja i moje,
i jak zwykle zobaczyć, że już nie pasuje. Że się wykluczyło.

ZNAKI

Bezsensowność ma smak twoich palców i tego się obawiam.
Double bed znów jest zbyt duże, gubię się na każdym z brzegów.
To przekładanie nóg, szukanie chłodnych miejsc na pościeli

nie przynosi rezultatów. Pamięć nie stygnie tak szybko jak ciało,
nie tężeje. W przetyku wciąż jeszcze tamten smak, powraca
jak wyrzut. Fotografie, a nawet filmy. Czarne wstążki, którymi

związywałeś mi dłonie, dyskretnie milczą w twojej szafie. W końcu
nie jestem skrupowana. Dopiero rankiem zaskoczą mnie zdjęcia
moich snów, które wkleisz bezlitośnie. Takie oznajmienie światu,

że niby jestem. Nikt nie skomentuje.

JASNOŚĆ

Rurek z kremem nie będzie, choć oboje lubimy słodczyce,
a życie przyzwyczało nas do kruchości. Znikasz
codziennie, schowany za zbyt trudnymi wierszami,
w domu, którego nie zobaczę, nie poczuję zapachu

pościeli i porannego wtulenia w poduszkę. Jesteśmy
za szybą. Co jakiś czas liżemy chłód, bo po drugiej stronie
wciąż iskrzy. Bywa, że jeszcze karmisz mnie jak wiewiórkę –
twardym spojrzeniem, które dziwnie topi się na mój widok,

rozpuszcza. Ciebie i mnie. Na połówki, ćwiartki, osobne mgnienia.

REWIND

A to jest właśnie jeden z tych długich wieczorów,
które miały nie nadejść, lecz jednak się dzieją.
Czas dla wspomnień i oczu, tego przymykania,
choć chciałoby się patrzeć – jak wtedy, sierpniowo.

I są myśli o chwili, gdy zbierała muszle –
w słońcu, wietrze, w brązowym pleców pochyleniu.
Są zapiaszczone mgnienia w zakamarkach głowy,
ich drobiny tak małe, że trudno uwierzyć.

Lecz przecież ona czuła kruche, białe skarby,
chcąc zatrzymać ten moment, schwytać na czas zimy,
kiedy będzie zmrożona, naznaczona śniegiem,
na mapach i dotykem, w zimnym oddaleniu.

A to jest właśnie jeden z tych nagłych wieczorów,
co przypomną jej drżenie, gdy znikła cicho
poniżej linii pępka – jak za horyzontem.

Ty byłeś wtedy nad morzem, tak fala za falą,
aż dobiełeś do brzegu. Lecz słońce nie stygło.

II NAGRODA RADY MIEJSKIEJ W ŁĘBORKU

DOMINIKA KASZUBA

POPRAWNE STOSUNKI

I.

odciśnięty na tobie hologram czasów: mocne konstrukcje i słabe charaktery.

akt I: bez kwiatów, za to jogging. pobiegajmy, kochanie, idą oszczędności
w ruchach, oszczędności w formach, treściach i przekazie. hej, płacmy mniej, za mniej!
oszczędnie obchodźmy się z uczuciami, obchodźmy się z nastroszoną sierścią, dookoła.
obejdzcie się.

drugiego aktu nie będzie, ta sztuka dopełni się w samotności,

za półprzymkniętymi drzwiami.

moment, w którym jeszcze o tym nie wiesz, nie potrwa długo.

II.

noc w jeziorze, szukanie brzegów nad ranem.

co się zgubiło? słońce jak weryfikator w budce celnej docieka

na drugi brzeg, czołga się po tafli. wszystko już oclone. wiemy

co czytać i co oglądać, nasze poglądy są jasne i sprecyzowane.

przyświeca nam nad nimi wielki, dobry brat, chociaż budzimy się

pod gorszym, słabszym, potem noc, szukanie brzegu, zrębków.

ALERGEN

I.

siódmy dzień oglądamy ten sam film. zaczynają nam się męczyć kable, ropicć stropy. powietrze jest wykończone wilgocią, w środku warzy się, ma więcej kurzu. sosny sięją się same. wypuszczają szypułki, środkowa zawsze największa, pokazuje nam faka. wahamy się na tej gałęzi jak nastroje, prawo-nic, lewo-nic. ale to nic jest najbardziej wychylone – jeśli stoisz na środku, nadstawiasz oba policzki. jeśli zrobi się duszno, otworzymy okno i będzie to jakieś wyjście.

II.

czeka nas dziesięć dni kolejek, a potem odejdziesz. droga nie będzie długa – jak stąd na chodnik, ale od teraz utrwałać się będzie powoli, najwierniej, jak umie. starannie. znamienny brak gestów. nie, nie obawiam się policji. obawiam się zmian pogody, długotrwałej suszy. jeśli raz obniży poziom zwierciadeł wody, czy powróci. czy będę chciała się przejrzeć. nie, nie będę dzwonić. jesteś duży, poradzisz sobie, zbuduj dom, posadź drzewo, masturbuj się. wyciągnij rękę, by upewnić się, że w gruncie rzeczy nikt nie zasieje już słowa.

PRĄD BĘDZIE ZAWSZE

o czwartej windy kończą swoją zmianę, zamykają się leniwie,
gasną w nich światła. nagle. ale ta nagłość nie pogania.
możesz poczuć się bezpiecznie, jak w konfesjonale,
choć nadal pamiętasz więcej, niż zdążysz wyznać.
zastanów się dobrze, masz

tylko chwilę. zaraz zbiegną się ludzie, niedaleki jest zgrzyt metalu, jego
rozcinięcie, wejdzie tu inne światło, kto wie, czy wiekuiste.
naostrzy to, co chciałbyś wygładzić. na razie siadł prąd i
wszystko stoi – tylko tak można podjąć decyzję o ruchu. ja też stoję
pod ścianą, słucham. jest bardzo cicho. do kogo dochodzisz,
jeśli nie do siebie.

FABRYKA ŚWIATŁA

I.

widziałeś we śnie dom na stoku góry, chciałbyś zostać w tym kamiennym domu. szkocja czy prowansja? to zależy od światła. tymczasem zamiast miesiąca w prowansji tydzień na neurologii. mamy dzienny limit energii zapisany na kartce nad telewizorem (jakże inny od tego, co ryte w kamiennych tablicach). światło napęnia bańki żarówek powoli, stawiamy je sobie na obumarzłych plecach. twarze odwracamy do wewnątrz, żeby nie pytać: kiedy będzie nam dane coś poczuć?

II.

schodzimy z drzewa i mówisz o ewolucji, widzę cienką linię traconego pędu. znikła energia i ruch
jest jednostajny, nie skręca ani nie zawraca - jest to jakiś sposób, żeby się nie zgubić.
nawet, gdybyś chciał wykonać ten niemożliwy gest, czy będzie gdzie zawrócić? ramiona genów są silnie połączone, jest całkiem spora szansa, że pobiegiesz w kółko. trzymasz się gałęzi jak nadziei, że istnieje punkt, od którego się nie oddalas.

III NAGRODA

MAREK BRYMORA

ODKRYCIE

To wręcz nie do uwierzenia: francuski geograf
odkrył tydzień temu wielką połąć ziemi
była doczepiona do Łacińskiej Ameryki
radary
lunety
nie wywęchały dotąd
jej ziemskiego zapachu

różne kraje wyraziły ochotę
na przyłączenie jej dziewictwa
do swego terytorium
(niektóre nawet z innych kontynentów
szermując argumentem Rosji i Alaski)
Kanada kusiła hokejem
Ukraina – kazaczokiem

nowa połąć ziemi
postanowiła iść w ślady Antarktydy
i nie należeć
do nikogo
(stan kawalerski – to było coś dla niej)
w przyszywanej ojczyźnie
słabo trzyma
guzik patriotyzmu

najlepiej zostać nadal białą plamą
zresztą tu zbyt gorąco by nosić
koszulę języka
spodnie stolicy
i kamizelkę nazwy

ŻYDOWSKI CMENTARZ

Na boisku cmentarza chłopaki rozgrywają mecz
uderza katolicka piłka w hebrajskie nagrobki
biegają po Baruchu, Izaaku, Dawidzie, Sarze
Wojtek, Tomek, Heniek, Wiesiek

mieli szczęście: Baruch, Izaak, Dawid, Sara
nie zdążyli ich dopaść: Hans, Klaus, Jürgen, Fritz
wymknęli się jeszcze z łap historii

szczelnie okryci chałatem inności
w dowcipach często grający główne role
a jednak zachowani w naszej niepamięci

wymarli tak radykalnie
że do dziś nie ma komu umierać
życie ma wyraźne rysy antysemickie

PROŚBA

Nie odkładaj panie słuchawki
gdy wykręcamy Twój numer

przyślij nam ciężarówkę odwagi
głupocie nie wystawiaj do nas delegacji

podaj swój dokładny adres
byśmy nie błędzili od boga do boga

daj smutek w liczbie pojedynczej
radość daj w liczbie mnogiej

do nieba wypisz skierowanie
z piekła tancbudę zrób

GDYBY NIE BYŁO DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Odwołujemy wojnę. Unieważniamy wszystko.
Z lwowskich kamienic zeskrobujemy cyrylicę.
Przed Breslau dajemy do sprawdzenia paszporty.
Chwalimy dziadkową zdolność przewidywania,
że ten Hitler to tylko Hitlerek.
Na darmo trwały w miłosnym uścisku
dłoń Ribbentropa z dłonią Mołotowa.
Wymijamy Oświęcim, tę senną mieścinę,
od wieków zanurzoną w nic-się-nie-dzieje.
- Och, mon Dieu, ci nieszkodliwi idealiści – komuniści...
uśmiecha się pobłaźliwie hrabina Potocka
na balu ziemiańskim w pięćdziesiątym drugim.

staruszkowi Baczyńskiemu
muza wciąż życzliwa.

I NAGRODA STAROSTY POWIATU ŁĘBORSKIEGO

ANDRZEJ CHODACKI

PONARY

*Boże, zabierz obrazy, co rozpychają się pod moimi powiekami
w czasie niekończących się nocy.
Obrazy ponarskich dolów wypełnionych nieumarłymi, drgającymi ciałami.
Obrazy okrwawionych dzieci, błkających się w szaleństwie
wśród skażonych śmiercią leśnych ostępów.
Obrazy demonów rozbijających kolbami głowy niemowląt.*

*Zapisałem to, co udało się zapisać, zanim moje ręce zaczęły drżeć,
a dalsze skrobanie o papier straciło sens.*

*Boże, zabierz mnie już, bo świat okaleczony bestialstwem
stał mi się obrzydły i stęchły.*

*Ponarskie doły gniją teraz w mojej głowie.
Nic gorszego nie może mnie już spotkać.*

CZŁOWIECZEŃSTWO

Przerażenie, które na chwilę odebrało mi oddech, zagnieżdżyło się boleśnie w mojej głowie. Pierwotny, wyprzedzający fakty lęk o to, co tu mnie czeka? Zobaczyłem cuchnące doły w Ponarach¹, już do połowy wypełnione trupami. Zawieźli mnie tam, by mi to pokazać. Fetor gnijących zwłok już od bramy odbierał chęć do nabierania powietrza.

Powiedzieli mi, że jeśli podpiszę papiery, moja rodzina przetrwa ciężkie czasy. Potem zabrali z powrotem do więzienia Łukiszki². Stałem przed naczelnikiem,

1 Ponary – w latach 1941-1944 r. las w Ponarach pod Wilnem był miejscem masowych mordów dokonywanych przez niemieckie SS i oddziały policji litewskiej. Ofiary katowano, rozstrzeliwano i grzebano w olbrzymich dołach. Łącznie zamordowano w ten sposób około 100 tysięcy ludzi, w tym ok. 70 tysięcy Żydów i 20 tysięcy Polaków oraz tysiące ludzi innych narodowości. Zbrodnię opisał jej świadek, Józef Mackiewicz w książce „Ponary – Baza”.

2 Łukiszki – więzienie na Łukiszkach – najstarsze więzienie na Litwie, położone w śródmieściu Wilna. Miejsce kaźni tysięcy Polaków, między innymi uczestników powstań, żołnierzy Armii Krajowej, uczniów wileńskich gimnazjów, księży i innych ofiar litewsko-faszystowskiego bestialstwa.

ciągle walcząc z odruchem wymiotnym.

– To co, Wiktoras³, zostaniesz u nas, czy na Ponary? – zapytał naczelnik, lustrując mnie małymi, świńskimi oczkami.

Nie odpowiedziałem. Wtedy usłyszałem słowa jak wyrok:

A więc jedziesz na Ponary!

Pieczęć uderzyła w stół. Zaraz potem ubrali mnie w rudą koszulę i ciemnozielony mundur. Wcisnęli mi karabin do ręki.

– Jutro kolejna partia, będziemy strzelać Polaków, pewnie z dwa tysiące tego plugastwa nam zalega, trzeba przewietrzyć Łukiszki.

MĘCZEŃSTWO

Spotkali się na drodze na Ponary. Katolicki ksiądz Romuald Świrkowski i Żydówka Sara Blumberg z małą córeczką na rękach. Jeden potok ludzi wysypywał się z długiego na 42 wagony pociągu, drugi – z kilkunastu ciężarówek, które przywoziły tu więźniów z wileńskiego więzienia Łukiszki. Ona wracała do getta z sezonowych prac przy umocnieniu wałów niedaleko Oszmian. Zdziwiona, potem przerażona, gdy zaczęto ich brutalnie wyganiać z wagonów prosto w las. On jeszcze niedawno odprawiał mszę w swojej parafii Świętego Ducha w Wilnie. Teraz wyciągał ręce, by podtrzymać przerażonych, ciężko pobitych nastoletnich chłopców, którzy wyrzucani byli z ciężarówek na drogę wiodącą do „Bazy”⁴. Każdy z chłopców półprzytomny po przesłuchaniach, każdy – wróg narodu litewskiego, bo Polak. W tę zwartą grupę, w której dzieci szukały ratunku wśród kapłańskich szat, uderzyły z boków szeregi szaulisów⁵. Krzyczeli na więźniów po litewsku i po polsku, uderzali gumowymi pałkami, próbując utworzyć z obu napływających potoków jednolitą kolumnę. Wtedy właśnie Sara, popchnięta brutalnie przez jednego z policjantów, upadła pod nogi księdza. Ten szybko schylił się, jedną ręką szarpnął kobietę do góry, drugą złapał płaczące dziecko, potem rozejrzał się nerwowo, czy pilnujący ich Litwini nie zauważyli chwilowego załamania pochodu. Mała Rachela na rękach kapłana szybko przestała płakać. Jej matka wyciągnęła po nią ręce i oczami pełnymi wdzięczności spojrzała na księdza.

3 Wiktoras Galwanaukas – ur. 12.08.1912 r., członek Specjalnego Oddziału SD i Policji Bezpieczeństwa. 3.06.1947 r. został skazany na karę śmierci przez Sąd Okręgowy w Olsztynie za czynne uczestnictwo w masowych morderstwach w Ponarach. Karę zamieniono na 25 lat więzienia.

4 „Ponary Baza” to zakamuflowana nazwa miejsca kaźni w ponarskim lesie. Oprawcy litewscy upowszechniali tę nazwę kojarzoną z miejscem pracy, by zapobiec panice przed mordowaniem ludzi ustawionych w kolejce do rozstrzelania.

5 Szaulisi – Związek Strzelców Litewskich, paramilitarna organizacja litewska powstała w 1919 r. W czasie wojny jej członkowie specjalizowali się w masowym mordowaniu ludzi w Ponarach obok Wilna. Mieli w tym znaczące wyniki, dzięki dobrej organizacji potrafili zamordować i zakopać 2800 ludzi w ciągu jednego dnia.

– Gdzie nas prowadzą, ojciec? – zapytała popychana z tyłu przez napierający tłum.

Kapłan już chciał odpowiedzieć, ale oto jeden z chłopców, ten, któremu w czasie przesłuchania w Łukiszkach zmiażdżono młotkiem stopy, zaczął ślaniać się tak, że wymagał podtrzymania w marszu. Dwa ciosy szaulisa, widzącego słabość chłopca, ksiądz przyjął na swoje ręce, którymi osłaniał głowę gimnazjalisty. Gdy Litwin został odrobinę z tyłu, zajmując się biciem szlochającej staruszki, Sara usłyszała odpowiedź księdza Świrковского:

– Na ostatnią naszą drogę.

Młoda kobieta nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo jakiś ruch, krzyki od strony pociągu odwróciły jej uwagę. Wyciągnęła głowę ponad pospiesznie przesuwającą się masę ludzi, poczuła, że tempo pochodu zmalało. Kilku szaulisów, okładających ludzi z boków pobiegło w stronę stacji kolejowej. Potem lasem wstrząsnęły wystrzały, najpierw pojedyncze, potem terkotliwa seria karabinu maszynowego.

– Ludzie, prowadzą nas na śmierć! Uciekajcie!!! – Krzyknął ktoś z przodu i Sara została porwana bocznym nurtem ludzkiego potoku w prawo, w kierunku zalesionego wzgórza. Znow kanonada za plecami, ktoś upadł obok niej, pociski głucho zatapiały swe zabójcze groty w ziemi dookoła. Jeszcze biegli razem, gdy znow salwa podcięła nogi dwójce mężczyzn, zanim dopadli linii pierwszych drzew. Kobieta, nie oglądając się za siebie, gnała dalej. Unosiła swoje dziecko kurczowo trzymane w ramionach. Ogień rozsadzał jej płuca, nogi mdlały, ale te ostatnie słowa księdza nie pozwalały jej się zatrzymać. Byle tylko dotrzeć do lasu, byle zdążyć przed kulami. Boże, ratuj nas!

Teraz na czworakach, podtrzymując się jedną ręką, próbowała złapać równowagę, gdy dotarła do pierwszych, rzadko wyrastających w tym miejscu drzew. Z ulgą dobiegła do grubej sosny, oparła się o nią plecami, tyłem do drogi. Walcząc o oddech, gładziła przestraszoną córeczkę po głowie.

Spróbowała obejrzeć się, nikt nie biegł w jej kierunku. Strzały ucichły. Z wysokości wzgórza zobaczyła na szerokiej drodze kilkadziesiąt osób otoczonych przez mężczyzn w ciemnozielonych mundurach. Poznała grupę gimnazjalistów, skupionych przy wysokiej postaci w czarnym stroju. Ksiądz wysoko uniesioną ręką błogosławił dzieci. Do stłoczonej gromady ludzi zbliżali się z wszystkich stron uzbrojeni w karabiny szaulisi. Kapłan zwrócił swój wzrok w stronę wzgórza, skąd spoglądała Sara. Uniósł rękę do błogosławieństwa w jej kierunku i wtedy z kilku kierunków jednocześnie w gromadę uderzyły pociski. Wyginające się trafieniami ciała padały jak podcięte kłosa zboża. Dzieci, masakrowane seriami z karabinów maszynowych słały się przy nogach księdza, który jeszcze kilka sekund stał. Nie zdołał jednak dokończyć znaku krzyża. Klęknął i upadł na stos dziecięcych ciał.

Sara zasłoniła twarz dłonią, zagryzła z rozpacz palce. Nie czekając ni sekundy zerwała się i ruszyła biegiem pod górę, w głąb lasu. Żegnały ją odgłosy karabinów maszynowych, kończących życie gromady ludzi złapanych w pułapce na drodze. Ostatniej drodze ich życia.

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

KOMISARZ SS OKRĘGU WILNO

Hans Christian Hingst

Do wiadomości:

Referat do spraw żydowskich

Franz Murer

My, żołnierze Vokiečių Saugumo Policijos ir SD Ypatingasis Būrys⁶, zwracamy się z wnioskiem o wyjaśnienie niesprawiedliwości, jaka dotyka nas od kilku miesięcy. Z wielkim poświęceniem dla sprawy Trzeciej Rzeszy i Litwy zaangażowaliśmy się w likwidację elementu żydowskiego i polskiego niszczącego od lat naszą ziemię. Według wstępnych obliczeń doprowadziliśmy do zniszczenia około stu tysięcy wrogów Rzeszy i Litwy. Pracujemy w ciężkich warunkach urągających godności żołnierza. Nie nadążamy z likwidowaniem przywożonych do Ponar transportów, pomimo przyjęcia do służby kolejnych, świeżych sił, rekrutujących się z najlepszych litewskich patriotów. Wśród mrozów, w deszczu i w ciemnościach eliminujemy wrogi element, często niedostatecznie wspomagani przez niemieckich sojuszników. Tymczasem odmawia się nam tego niewielkiego przywileju, jakim jest uznanie za naszą własność rzeczy znalezionych przy likwidowanych bandach Żydów i Polaków. Oskarża się nas o przywłaszczenie rzeczy, które bez naszej skrupulatnej selekcji i tak zostałyby zakopane wraz ze zwłokami.

W imieniu swoim oraz żołnierzy podległego mi oddziału wnioskuje o oficjalne zatwierdzenie rozkazu o automatycznym przechodzeniu mienia odebranego likwidowanym bandytom żydowskim i polskim na rzecz żołnierzy Vokiečių Saugumo Policijos ir SD Ypatingasis Būrys.

Podpisano:

Dowódca porucznik Norvaisza Balys

Zastępca dowódcy podporucznik Lukoszius Balys

6 Vokiečių Saugumo Policijos ir SD Ypatingasis Būrys – Specjalny Oddział SD i Policji Bezpieczeństwa, litewska jednostka wojskowa dokonująca masowych mordów w Ponarach. Podstawowy skład oddziału liczył kilkaset osób. Do tego oddziału przydzielono bataliony ochrony liczące osiem i pół tysiąca żandarmów, których zadaniem było doprowadzenie i pilnowanie ludzi przed egzekucją.

ŚWIADECTWO

Zbliżał się powoli do opuszczonego, zaniedbanego domu, którego adres podał mu Kazimierz Sakowicz, przyjaciel i towarzysz broni z AK. Na budynku nie było numeru, wiedział tylko, że posesja Sakowicza w czasie wojny znajdowała się kilkaset metrów na zachód od dołu oznaczonego literą D. Jego druh z partyzantki tego wieczoru, gdy ciężko ranny, zdołał przetrwać podstępny zamach zorganizowany przez szaulisów, przywołał go do siebie i powiedział:

– Stanisław, tam w moim ogródku, na zachód od domu, zakopałem butelki, a w nich zapiski – tu przerwał, ciężko dysząc. – Jako ostatnia moja wola zaklinam cię, abyś te zapiski zawiózł do naszych w Warszawie.

Kazimierz próbował podnieść się na łokcie, ale padł omdlały na łóżko.

– Ty nie wiesz, co tam się działo, co mi przyszło oglądać przez te lata – mówił cicho, jakby do siebie.

– Spokojnie, Kazik, oddychaj spokojnie. – Stanisław pomyślał, że to może majaczenie przez tę ranę brzucha, która wyglądała paskudnie, ale Sakowicz dźwignął się z trudem z łóżka i spojrzał mu przytomnie w oczy.

– Przysięgnij, że pojedziesz i odnajdziesz papiery – zobowiązał przyjaciela mocnym głosem.

– Przysięgam, Kazik, zrobię, jak chcesz.

Tego wieczoru Sakowicz umarł, dziesięć dni po skrytobójczym ataku, o którym wszyscy wiedzieli, że był dziełem szaulisów. Kazik za dużo wiedział.

A pięć lat potem Stanisław wrócił do Wilna, by wypełnić ostatnią wolę przyjaciela.

Powietrze w ponarskim lesie nie pachniało już tak, jak przed wojną – żywicą i grzybami. Spokój tego zakątka skażony został bezpowrotnie wojną i tym, co zostawiła po sobie. Mówiono, że w ponarskich dołach śmierć znalazło dziesiątki tysięcy ludzi. I to wszystko tak blisko domu Kazimierza. Mężczyzna spojrzał w górę i dostrzegł małe okienko na poddaszu.

– To pewnie stamtąd Kazik oglądał doły – pomyślał, i obszedł dom od zachodniej strony. Uważnie rozglądał się za miejscem, w którym można by bezpiecznie zakopać ważne dokumenty. Studnia stała tam gdzie zwykle, Kazik wiele razy opowiadał, że woda zalatywała trupem. Najprościej by było zakopać coś pod studnią, ale przecież każdy by tu właśnie szukał. Na to Kazik był zbyt sprytny.

Stanisław odliczył kroki z domu do studni. Dokładnie czterdzieści kroków. I wtedy go olśniło. Przypomniawszy sobie, że tego wieczoru, gdy jego przyjaciel umierał w wileńskim szpitalu, mając przy sobie coś o dwudziestu krokach. Odliczył, ile

trzeba, i wydobył zza pazuchy małą saperkę. Szeroko oddarł trawiasty dywan i zaczął wydobywać łopatką ziemię. Już na głębokości dwóch sztychów stwierdził, że musiał się pomylić. Nic nie wskazywało, by jakieś butelki były tu zakopane.

Kopał jednak dalej i jego dociekliwość została nagrodzona. Łopatka uderzyła o szkło, tłukąc coś w ziemi. Ostrożnie wydobył wysmukłą butelkę litewskiej monopolowej, której przez nieuwagę utracił szyjkę. Rozejrzał się jeszcze raz uważnie po okolicy. Cisza, spokój, wróble beztrząsco skaczą na leszczynie po drugiej stronie polany.

Przetarł rękawem butelkę i dostrzegł w jej wnętrzu zwinięte w rulon skrawki papieru. Wytrzepał na rękę jeden z nich. Jeszcze raz starym partyzanckim zwyczajem przyjrzał się krzakom otaczającym dom i rozwinął papier. Zaczął czytać.

23 lipca

Sądny dzień. Przypędzono około pięćset osób. Dużo inteligencji... Kruki... kruki... strzały je odpędzają.

27 lipca 1941 niedziela

Krąkanie i strzały w lesie. Grasują tam mordercy. Razem z nimi jest również Pertas Keizikas. Wyrósł w wileńskiej ochronce na Zarzeczcu, był wychowankiem księdza Bielanskasa.

Później zaprzyjaźnił się ze złodziejami, okradł drukarnię. A teraz współpracuje z mordercami.

19 sierpnia 1941

Strzelają z tyłu w plecy, albo granatami, lub z karabinu maszynowego, gdy deszcz lub wieczór się zbliża.

Szybko zwinął papier i schował do kieszeni. Tym razem przestraszył się na poważnie.

– Jak mnie z tym złapią, to kula w łeb. Kazik, co tu się działo, na miłość Boską?!

Ciekawość pomieszana ze strachem nie dawały mu jednak spokoju. Tych zwiniętych kartek było w butelce jeszcze kilka. Szybko wytrzepał pozostałe, złapał jeszcze jedną flaszkę i wycofał się za róg domu, gdzie nie był tak widoczny. Kucnął, opierając się o ścianę, i zaczął czytać na nowo.

30 lipca 1942, piątek

Rozstrzelano około stu pięćdziesięciu ludzi. Przeważnie byli to starcy. Oprawcy skarżyli się, że są zmęczeni swą „robotą”, od strzelania bolą ramiona. Dlatego rannych nie dobijają, lecz zakopują później.

4 kwietnia 1943, niedziela

...W tym czasie biegnie grupa kilkudziesięciu ludzi. Nieco z dala od nich – mężczyzna z dzieckiem na ręku. Obok widocznie żona i jeszcze dwoje dzieci. Po jednym strzale mężczyzna pada. Żona chwytą go za rękę i coś woła. Dzieci drepczą obok. Dobiegają dwaj policjanci i wszystkich zabijają.

Kolejny zwitek papieru Stanisław otworzył już drżącymi rękami. Jakiś ciężar przygniótł go, zmałił spokój jego umysłu, rozdzierając niezagojone wojenne blizny.

– Więc dlatego Kazik prawie wcale się nie odzywał – pomyślał, i poczuł, że te papiery parzą go w ręce. Spojrzał na kolejną kartkę.

4 listopad 1943 roku czwartek

Wczoraj przywieźli znów jedną ciężarówkę ludzi. Przeważnie kobiety i dzieci. Strzelają w dole. Teraz obok dołu stoi beczka z wapnem. Wapnem tym zaraz po rozstrzelaniu posypują zabitych. Jak opowiadają policjanci, niektórzy lżej ranni udają zabitych po to, aby później mogli uciec. Teraz niektórzy zaczynają w dole „podskakiwać”. Nikt ich nie wykańcza. I tak sami się wykończą.

Mężczyzna wytarł łzę, która spadła z jego nosa na otwartą kartkę papieru. Wyjął z kieszeni pozostałe zapiski i wcisnął po kolei do butelki. Zlustrował okolicę w poszukiwaniu wścibskich obserwatorów, po czym podszedł do wykopanej w ziemi dziury.

– Wybacz mi, Kazik – wyszeptał przez łyzy i położył obie butelki w dole. Szybкими ruchami zasypał dół ziemią i nasunął na wierzch warstwę trawy.

– Wybacz mi – dodał jeszcze, po czym odwrócił się i zdruzgotany powędrował na stację Ponary.

POLOWANIE

– Popatrz, nie może taki jeden z drugim zdechnąć normalnie, na Bazie, jak wszyscy – litewski żandarm Stepas Cibulskis⁷ pokonywał właśnie przeskokiem rów wypełniony wodą, gdy jego młodszy kolega Leonas Pažusis⁸ podjął usłużnie nerwowy ton przedmówcy.

– Przecież ukaz jest, wiedzą, że uciekać nie ma po co, a my ich teraz ...– tu machnął ręką i przytrzymał się sosenki, by sprawniej wdrapać się na wzniesienie.

7 Stepas Cibulskis – lat 41, pochodził z powiatu Święciany, w oddziale specjalnym w latach 1941–43, wyróżniający się okrucieństwem oprawcy.

8 Leonas Pažusis – lat 25, pochodził z Litwy etnicznej, w oddziale specjalnym w latach 1941–43, ścigany za zbrodnie wojenne w Australii.

Gdy stanęli na górze, powyżej pokrytego wysokim wrzosem parowu, przez chwilę oddychali ciężko. Do granicy lasu na północnym wschodzie pozostało dwadzieścia minut marszu. Jak nie zaczną padać, może wrócą wcześniej.

– Wiesz, Leonas, tydzień temu przywieźli tu jakieś młode dziewczki w mundurkach. Akurat nasi z psami pilnowali Żydków, a że tamci spokojnie czekali na rozstrzał, tośmy psy puścili na te dziewczki. Pisku było i zabawy chyba z godzinę. Tylko, że psy do zabijania nienawykłe i dobijać trzeba było. Niektóre z lasu wlekiśmy, tak daleko suki uciekły. Ze trzy musiałem zatłuc – tu przerwał, pociągając z manierki samogon – bo psy się zmachały. Słabo dobermany szkoła.

– To chyba polskie dziewczki były? – zapytał młody Litwin, siłąc się na uprzejmość, bo interes do Stepasa miał.

– Polskie, żydowskie, zatłuc trzeba, zakopać.

– A no trzeba, ukaz jest – zgodził się Leonas, kombinując, jak tu zapytać o siostrę starszego żandarma, która młodzikowi w oko wpadła.

Ruszyli w górę, między drzewami, wprowadzając w odwieczny, żywiczny zapach ponarskiego lasu alkoholowy wyziew gnijących dusz.

– A twoja siostra za mąż wyszła? – odważył się wreszcie zapytać Leonas.

– Chciała za Polaka, tom go tu zakopał i teraz głupia gęś po Wilnie chodzi i go szuka.

– Co prawda, to prawda – potwierdził chłopak, choć gniew w nim wezbrał, że taka piękna dziewczyna krew litewską z psubratem chciała mieszać.

– Ale skąd dla niej teraz porządnego litewskiego chłopą wziąć? – Stepas zawiesił głos, nasłuchując chwilę w bezruchu. Towarzysz broni przyglądał mu się z podziwem. Podobno to najlepszy tropiciel w oddziale, jeszcze mu się żaden Żydek nie wywinął. Nosa ma. I piękną siostrę też.

– A wśród naszych nie szukała? – zagadnął Leonas z nadzieją, że może rozmowa sama się na odpowiednie tory skieruje.

– Za dużo samogonu i wódki piją – cicho odparł stary i zdjął karabin z ramienia.

Oho, coś zobaczył – pomyślał chłopak – pierwszy patrol z nim, a już się przekonam, co potrafi.

Stepas przyglądał się bacznie kępie krzewów dwadzieścia metrów przed nimi. Dał młodszemu koledze znak, aby zachował ciszę. Teraz Leonas wiedział, dla czego najlepszy tropiciel oddziału nie zabierał psów. Za dużo hałasu i biegania. A od strzelania i tak już dzwoni mu w uszach. Tu trzeba przebiegłości i instynktu łowcy. Zbliżali się bezszelestnie, stawiając uważnie stopy. Szczęśliwie wilgotne powietrze nasączyło patyki spadające z sosen, tak że chodzenie po mokrym igliwiu odbywało się bezszelestnie.

– Najgorsze są bachory – Stepas mówił teraz szeptem, jakby do siebie. Co chwila przystawał, zdawałoby się, węszył. – Nauczyły się w getcie, jak kryć się w dziurach, trudno takiego wypatrzyć. Jak dorosła sztuka wyjdzie ci pod strzał,

podnieś spokojnie karabin, nie spiesz się – ruszyli znów do przodu, obchodząc dwie, blisko rosnące sosenki, które utworzyły z bliźniaczych pni coś na kształt kolebki.

– Raz godzinę tropiłem takiego bachora – żandarm kontynuował przedziwny instruktaż, stając nad dwoma śpiącymi istotami. Młoda kobieta w poszarpanych, pokrytych błotem łachmanach spała, trzymając na rękach małą dziewczynkę. Mężczyzna podniósł wysoko karabin. W przebłyskach rzadkich w tym miejscu drzew zachodzące słońce odbiło się od ostrza bagnetu. Karabin opadł energicznie i bagnet wbił się w pierś śpiącej kobiety.

– Dopadłem go dopiero przy drutach – z niezmaconym spokojem Stepas zajął w szeroko otwarte oczy przebudzonej śmiertelnym ciosem kobiety. Przebudzonej tylko na chwilę. Oczy te zgasły tak szybko, że nie zdążyła nawet krzyknąć. Mężczyzna wyrwał ostrze, a z przebitej klatki piersiowej chlusnęła krew na twarzyczkę dziewczynki wtulonej w umierającą matkę. Dziecko zaczęło płakać, wywołując coś na kształt grymasu na twarzy Litwina. Potężne uderzenie kolby karabinu wnet przerwało ten płacz, rozgniatając umorusaną błotem twarzyczkę na miazgę.

– Głowa zaplatała mu się w druty – mężczyzna kontynuował niewzruszony, wycierając okrwawiony bagnet o spódnicę drgającej w śmiertelnych konwulsjach Żydówki. – Poczekąłem chwilę, aż przestanie wierzgać i na wszelki wypadek wsadziłem mu bagnet w bebechy – tu zaczął się śmiać.

Chłopak stał obok odrętwiały. Plany na temat spotkania z siostrą Stepasa zostały teraz zastąpione przez trudną do opanowania chęć wyrzycania się tu i teraz.

Stary żołnierz popatrzył na młodzieńca obojętnie. Potem ruszył dalej w stronę zewnętrznego ogrodzenia „Bazy”. Zanotował w pamięci informację dla sołtysa. Osiem ciał leży w lesie do transportu na doły. Nachodzili się, zanim wszystkich wyłapali. Paskudna robota, ale przecież ktoś to musi robić. Młody się w końcu nauczy.

UMIERANIE

Pessia Aronowicz miała tego ranka potargane i skołtunione włosy. Próbowwała je przygładzić, ciesząc się chwilą porannego spokoju. Ona wiedziała, dlaczego zatrzymano pochód, który trzecią godzinę przesuwiał się serpentyną przez Góry Ponarskie w stronę śmierdzącego padliną lasu. Już gdy mijali przydrożną kapliczkę, fetor zapierał dech w piersiach. Ona słyszała o tym. To był fetor gnijących ludzkich ciał. Tuliła więc tym czulej swego małego synka, gładziła jego włosy i brała na ręce, ilekroć chłopiec płakał, że bołą go nóżki. Nuciała mu kołysanki z czasów, gdy mogli zasypiać bez lęku i głodu w ich małym, przytulnym

mieszkanku w Wilnie przy ulicy Mickiewicza. Dziś, gdy szli tą ulicą z getta, spostrzegła okna swojego pokoju na parterze kamienicy i zaczęła płakać. Tam zostało wszystko, co wiązało się z życiem. Tu unosił się fetor śmierci.

– Gdzie jesteś, mamo? – zapytał chłopczyk i zajął w oczy matki.

– Nie bój się, mój kochany, widzisz – kobieta pokazała palcem bramę „Bazy” – to jest droga do raju. Pamiętasz, jaki piękny jest raj?

– Ruszaj! – krzyk Litwina poderwał na nogi zmordowaną ludzką gromadę. Z boków gromadę skazańców opadły psy, szarpiąc wściekle wystające ubrania i ręce. Ktoś nie zdążył wstać. Starszy mężczyzna, zupełnie siwy. Litwin strącił mu czapkę z głowy i zamachnął się karabinem. Ciało starca gruchnęło obok nóg Pessi. Z rozłupanej potężnym ciosem czaszki wypływał potok krwi.

Ruszyli nerwowo. Psy ujadły, próbując złapać w spienione paszcze tych, którzy wychylali się na boki. Litwini szczekali tak samo jak te psy, ciosy ich gumowych pałek spadały na więźniów ze wszystkich stron. Pierwsze szeregi przekroczyły bramę „Bazy”. Ktoś wyrwał się do przodu, przebiegł kilkanaście kroków, padł strzał, człowiek przewrócił się z przestrzeloną szyją. Pessia spostrzegła, że dwadzieścia metrów dalej stoi mur zielonych mundurów, z którego wystają kołyszące się karabiny. Jeszcze kilka kroków i dostrzegła na twarzach szaulisów uśmiechy.

Trzymać się w środku – teraz tylko ta jedna myśl wyznaczała każdy jej krok. Falanga Litwinów ruszyła na bezbronną gromadę kobiet, dzieci i starców. Zaczęli wyrwać tych stojących bliżej i oddzielać małe grupki. Zewsząd padały strzały. Pojedyncze i salwy wciskające głowę kobiety w szamoczące się lekkiem ramiona. Ludzie stawali na brzegu dołu i nagle, trafieni kulami znikali jak w otchłani. Teraz widać było wyraźnie wielki dół, pewnie ze trzydzieści metrów szeroki. Tam szaulisi pchali cały tłum. Kiedy pozostało do tego dołu jeszcze kilkanaście metrów, ludzie przed szalejącą sforą Litwinów byli już tak przerzedzeni, że Pessia i jej syn stanęli twarzą w twarz z mordercami. Jeden z szaulisów walił pałą kobietę, która osłaniała od razów małe dziecko w ramionach. Kolejny cios pozbawił ją na chwilę przytomności, wtedy Litwin chwycił za ubranko niemowlę i cisnął z rozmachem do dołu za sobą. Matka na chwilę odzyskała świadomość i zerwała się na nogi, rzucając się za lecącym w przepaść dzieckiem. Gdy spadała w dół, dopadła ją litewska kula i szyderczy śmiech.

Pessia podjęła desperacką decyzję. Ruszyła do przodu nie patrząc w oczy oprawcom.

– Dół nie może być przecież tak głęboki. Może uda się tam wskoczyć, osłonić dziecko?

Szaulisi zabijali w pijackim amoku. Chaos zawładnął wszystkim wokół. Dziewczyna była już o krok od brzegu dołu, już miała skakać, gdy stanęła jak rażona piorunem. Przed nią otworzyła się cała ogromna przestrzeń wypełniona

powykręcanyimi nogami, rozciągniętymi jelitami, wzniesionymi w górę w ostatniej modlitwie szerniałymi rękami. Jak okiem sięgnąć, niekończąca się góra trupów. Dziewczyna odwróciła się i wtedy uderzył w nią bagnet, a wraz z nim przekleństwa wykrzywane przez szaulisa. Jej syn jęknął tylko cicho, gdy ostrze broni przekłuło mu na wylot klatkę piersiową i zagłębiło się w piersi kobiety. Oblicze Litwina, wykrzywione wściekłością, zaczęło oddalać się stopniowo. Dywany kikutów przyjęły ich ciała bez żalu. Objęły czule wśród dziesiątków tysięcy bezimiennych. Spokój powracał w jej coraz wolniej bijące serce.

OCZEKIWANIE

Zima i wiosna 1944 roku to był dla nas trudny czas. Pracowaliśmy przy „dołach” po osiemnaście godzin dziennie, nie zaniedbując przy tym podkopu, który z naszego mieszkalnego dołu przybliżał nas powoli do upragnionej wolności. Wieczorem, gdy skonani wracaliśmy do siebie, Litwini wrzucali nam kilka kawałków zamrożonego chleba. Ten chleb wtedy, po całym dniu głodówki, smakował jak najlepszy rarytas.

Przy dołach, w czasie całodzienniej pracy na jedną rzecz nie mogliśmy narzekać. Nigdy nie było nam zimno. Stosy gnijących ciał wysokości pięciu metrów, które płonęły po dziesięć dni każdy, ogrzewały nas nadzieją, że dzięki podkopowi nie skończymy na jednym z nich. Taką mieliśmy wtedy podporę dla serca skołatanego zagładą narodu. Ciepło bijące od tysięcy płonących trupów.

PAMIĘĆ

- Wie pan, tam w Ponarach była taka sprawa przed wojną. Zamordowano tam kobietę. Rozebrano, oblano naftą i spalono. Mówię panu, prawdziwa groza. Mój kolega, Litwin, był wtedy fotoreporterem. Robił tam zdjęcia spalonych zwłok, bielizny rozwieszanej na krzakach. Oczywiście, nie zezwolono na ich publikację, mówili, że są zbyt drastyczne. Całe Wilno huczało od domysłów. Oburzenie na tę nieludzką zbrodnię ogarnęło cały kraj.

Potem, wie pan, w czasie wojny, dowiedziałem się, że syn tego mojego znajomego zaciągnął się do szaulisów. Nie wiem, co robił w czasie wojny, ale zaraz po wojnie Ruscy go powiesili. Ten znajomy fotograf miał ponoć jakieś zdjęcia z lasu w Ponarach, ale wszystkie spalił. Wyjechał zaraz po wojnie do Stanów i nigdy nie wrócił.

Dziwny naród, ci Litwini. Zrobili raban z powodu zabójstwa jednej kobiety, ale zamordowanie stu tysięcy ludzi w ponarskim lesie przeszło im gładko i nie wygląda, aby mieli z tym jakikolwiek problem. Nawet szaulisi reaktywowali swoją organizację i dumnie noszą swoje mundury, medale sobie przyznają. W głowie się nie mieści, panie. Uwierzyć wprost trudno. Jakby Hitler z grobu powstał.

Wszystkie wydarzenia, nazwiska i daty przedstawione w opowiadaniu są zgodne z faktami historycznymi. Związek Strzelców Litewskich, czyli szaulisi, reaktywował swoją działalność po 1991 roku i obecnie liczą ok. 7 tysięcy członków. Mają własne odznaczenia: gwiazdę szaulisów i medal gwiazdy. Listy szaulisów do ich hitlerowskich sojuszników, w których Litwini narzekają na ciężkie warunki do mordowania ludzi, są także prawdą historyczną.

Cytowano fragmenty oryginalnych zapisków Kazimierza Sakowicza, bezpośredniego świadka eksterminacji obywateli polskich wyznania mojżeszowego i chrześcijańskiego w ponarskim lesie.

Dziś na 10 osób zapytanych na ulicy, co wiedzą o Katyniu – 10 odpowie prawidłowo.

Ta sama grupa 10 osób zapytana, co wiedzą o Ponarach, będzie milczeć zakłopotana.

II NAGRODA
RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

KRZYSZTOF WINICJUSZ JEZERSKI

BALLADA O WIŚLANEJ MAGII,
O PRZEMIJANIU CZASU I LUDZI,
O FANTASTYCZNYCH OPOWIEŚCIACH
I O ZWYCZAJNYM ŻYCIU

W dzieciństwie marzyłem o tym, by kiedyś niespodzianie znaleźć się przy źródłach Wisły i stamtąd dopłynąć do Gdańska, zapuszczając się przy okazji w co atrakcyjniejsze dopływy królowej polskich rzek... Przyszło mi to do głowy po raz pierwszy chyba w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy dziadek, mieszkający na południowym Mazowszu w pegeerowskich czworakach, zaprowadził mnie – kilkuletniego smarkacza – na sporą skarpe, opodal której, choć sporo niżej, ciemniało pasmo wody, rozjaśnianej tylko gdzieniegdzie odbijającymi się w niej białawymi plamami obłoków. Od lądu oddzielała tę bezdenną – jak mi się wówczas zdawało – głębinę wątlą ścianka trzciny, a nieco bliżej nas przy brzegu była ścieżka prowadząca do Przydworzyc¹, wioski leżącej około kilometra w górę rzeki, za którą znajduje się następna miejscowość Kłoda². Tę drożynę, przebiegającą blisko rzecznej pasma, nazywanego przez miejscowych Łachą³, wydeptali mieszkańcy pobliskich osad, którym nie opłacało się chadzać

1 Przydworzyc – wieś wymieniana w wydanym w 1892 roku tomie 12. „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego” jako Przydworzyszcze. Mieszkało w niej pod koniec XIX wieku 27 osadników z rodzinami, uprawiających 566 mórg ziemi. Należała do gminy Trzebień, która wówczas miała obszar 18426 mórg, w tym 11475 mórg dworskich (folwarcznych). Było w tej gminie 508 domów, w tym tylko 13 murowanych.

2 Kłoda – wieś na lewym brzegu Radomki, przy ujściu tej rzeki do Wisły, położona 2 km na wschód od skrzyżowania drogi do Studzianek Pancernych z szosą Kozienice–Góra Kalwaria. W średniowieczu była osadą strzegącą przeprawy przez Wisłę. We wrześniu 1939 roku stoczył w jej pobliżu zwycięską potyczkę z Niemcami oddział majora Hubala – Henryka Dobrzańskiego. W „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego” na temat tej wsi napisano: Kłoda – wieś nad rzekami Wisłą i Radomką, powiat kozienicki, gmina Trzebień, parafia Magnuszew, odległa 22 wiorsty od Kozienic. W 1827 roku było tu 95 domów 110 mieszkańców, obecnie 18 domów, 187 mieszkańców, 410 mórg ziemi włościańskiej, 1 dworska. Tu granica guberni radomskiej przechodzi na prawy brzeg Wisły na przestrzeni 3 wiorst.

3 Łacha – wg Oskara Kolberga łachy wiślane nazywano dawniej nieciecz, co świadczy o tym, że prądy wodne nie były w takich miejscach zbyt silne i wody nigdy prędko z nich nie ciekły. Nad łachą leżał Magnuszew, osada, którą opisał m.in. książd J. Gacki: w Pamiętniku religijno-moralnym Warsz. 1848 tom 15 str.381 [O. Kolberg – „Dzieła wszystkie” t.20, cz.1, Radomskie s.6, wg wyd. 1887 r.], znajdowała się nad tym samym rzecznym ciekim również wieś Grzybów. Mieszkańcy okolicznych wsi słowo łacha uważali za nazwę

gościńcem⁴, mającym wedle miejscowej tradycji być w epoce przedpiastowskiej częścią bursztynowego szlaku⁵...

Przyjezdnych informowano wprawdzie o tych historycznych zaszczytach z dumą, ale ważny niegdyś trakt przed kilkuset laty stracił na znaczeniu i stał tylko wiejską drogą, choć sporo szerszą niż trakty widywane gdzieś indziej. W jej pobliżu w drugiej połowie lat pięćdziesiątych powstała położona niemal prostopadle do dawnej drogi nowa arteria, wiodąca z Kozienic⁶ do Warki⁷, którą w czasach mojego dzieciństwa wyłożono granitowymi kostkami, a w jakiś czas później pokryto asfaltem.

Za przesmykiem czarnej toni, przed którym się zatrzymaliśmy, rozciągała się dość rozległa płaska wyspa – własność miejscowego PGR, powstałego na gruntach dawnego folwarku Zamojskich. Porastały ją urzekające świeżą zielenią trawy i łozinowe krzaki, a dopiero za tym otoczonym wodą płatem terenu, na horyzoncie było widać zza nadbrzeżnych zarośli o wiele szersze ówczesne koryto Wisły⁸. Od wiosny do jesieni pasano na tym ostrowie⁹ spore stado biało-czarne-

własną. Dlatego napisałem je z wielkiej litery.

- 4 Gościńiec – piękna, dawna nazwa ważnej drogi, którą wedle tradycji mieli przyjeżdżać w goście znani i nieznani przybysze z daleka. O niemalym znaczeniu pojęcia gościnności świadczyć może śpiewana przez zespół Mazowsze stylizowana na ludową piosenkę, zaczynająca się od słów: Jadu goście, jadu koło mego sadu. Do mnie nie przyjadu, bo ni mom posagu...
- 5 Bursztynowy szlak – stanowiło go kilka traktów, którymi cudzoziemscy kupcy przybywali na nasze tereny. Prowadził znad Adriatyku przez Węgry, Morawy, Śląsk, wzdłuż Wisły do Bałtyku. W zamian za pieniądze i kosztowności podróżujący tamtędy kupcy handlowali przede wszystkim jantarem i niewolnikami.
- 6 Kozienice – miasto we wschodniej części woj. radomskiego, nad Zagórzem, w Dolinie Środkowej Wisły. W 1993 roku mieszkało w nim 21200 mieszkańców. W XII wieku była wsią klasztorną, od 1429 roku własnością królewską (w 1467 roku urodził się tu Zygmunt I Stary). Prawa miejskie nadano Kozienicom w 1549 roku. W XVIII wieku powstała tu fabryka broni palnej. Miasto jest ośrodkiem przemysłu meblarskiego, w pobliżu działa wielka elektrownia ciepła Kozienice.
- 7 Warka – miasto w północnej części województwa radomskiego, nad Pilicą, na granicy Równin Kozienickiej i Warszawskiej. 11,3 tys. mieszkańców (1994). W XI i XII wieku był tu średniowieczny gród. W końcu XIII wieku powstała osada handlowo-obronna zwana Starą Warką, położona w odległości 4 km od obecnego miasta, w XIV wieku przeniesiona na dzisiejsze miejsce. Prawa miejskie Warka otrzymała w 1321 roku. W XV i XVI wieku rozwinęły się: handel, rzemiosło, ogrodnictwo i produkcja piwa. 7 kwietnia 1656 roku w jej okolicach stoczył zwycięską bitwę hetman Stefan Czarniecki. Od 1793 roku (II rozbiór Polski) Warka była pod panowaniem Prus, od 1807 roku w Księstwie Warszawskim, od 1815 roku w Królestwie Polskim. Podczas II wojny światowej Niemcy stworzyli w Warce getto, działające w latach 1940-1941. Miejscowość była wówczas ośrodkiem konspiracji, terenem działalności Batalionów Chłopskich i Gwardii Ludowej. Zniszczona została niemal doszczętnie podczas walk na tzw. przyczółku warecko-magnuszewskim, trwających od sierpnia 1944 roku do stycznia 1945 roku. Odbudowano ją po wojnie. Urodzili się w tym mieście Kazimierz Pułaski (1746-1779) i Piotr Wysocki (1797-1874).
- 8 Ówczesne koryto Wisły – jako rzeka nieuregulowana Wisła tworzyła na pewnych odcinkach po swych wylewach, i to dość często, coraz to nowe koryta podczas wiosennych lub jesiennych przyborów wód. Najpierw rzeka osadzała przy zakolach piaski i mul, z którego po jakimś czasie tworzyły się w jej korycie wyspy, utrudniające szczególnie podczas przyborów szybkie spływanie wód, co powodowało lokalne podtopienia i powodzie. Wówczas wezbrane rzeczne wody tworzyły sobie nowe – zwykle krótsze – koryta, a stare fragmenty dawnych rzek stawały się starorzeczami. Tak właśnie w 1840 roku utworzyła się w delcie Wisły pod Gdańskiem Wisła Śmiała i oddzieliła się od Leniwki Szkarpada, płynąca na wschód.
- 9 Ostrów – synonim słowa wyspa. Nazwy od tego określenia wzięły liczne miejscowości albo ich dzielnice, np.: Ostrów Lubelski, Ostrów Mazowiecka, Ostrów Wielkopolski, Ostrów Tumski czy Ostrówek zakładane zapewne dla bezpieczeństwa mieszkańców na łatwiejszych do obrony rzecznych wyspach lub w ich pobliżu.

go i czerwono ubarwionego bydła. Przepędzano je na wyspę przez bród, obłożony dla bezpieczeństwa na pograniczu płycizn i głębin zasiekami z gałęzi.

Jako dziecko myślałem o wszystkich czerwonawych Mućkach, że są spokrewnione z jeleniami... Nasunęło mi ten pomysł płowo-czerwone ubarwienie zastrzelonego przez leśników rogarza o rozłożystym wieńcu, przywiezionego kilka dni wcześniej drabiniastym wozem do miejscowości Trzebień, gdzie mieszkali dziadek i babcia – rodzice mojego ojczyma. Rozgałęzione poroże zwierzęcia wciąż wyglądało groźnie, ale nie było już niebezpieczne i z pewnością nie mogło już zagubionych w lesie malców podrzucać aż do samego nieba – przed którym to niebezpieczeństwem niemal codziennie przestrzegała mnie babcia podczas cowieczornych pogwarek przy układaniu mnie do snu...

W jej opowieściach wielkie samce jeleni mogły niesfornych chłopców (o dziewczynkach jakoś nie wspominano) ekspediować w ten sposób nawet na wielgaśne półkolisko tęczy, od czasów biblijnego potopu zachwycającej ludzkość kolorami i zapowiadającej dobrą pogodę po szczególnie gwałtownych burzach – takich z granatowymi chmurami i rżęciowo-srebrzystymi rozgałęzieniami gromów – podczas których dla ochrony przed piorunami jeszcze na początku XX wieku w polskich wsiach zapalano i stawiano w oknach gromnice...

Dzieciak który się tam na *takiej wysoczyźnie* znalazł miał wg babci niemal zawsze z tęczowego mostu ześlizgiwać się do wody, w której jej zdaniem Pan Bóg zakotwiczał tę urzekającą niebiańską konstrukcję i tonął, bo mało kto na wsiach umiał pływać. Ale jeśli znalazł w sobie odpowiednio dużo siły i wiary w swoje możliwości, wlaził po tęczowym szlaku coraz wyżej i wyżej... Mógł nawet dojść do drugiego końca owej kolorowej drogi, po której jakoby wedle starsłowiańskich wierzeń do nieba miały wędrować dusze zmarłych i... tam spróbować zejść na twardy grunt. Rzadko kiedy jednak kończyło się to powrotem malca do stęsknionej rodziny, bo niebiańskie kolorowości, mające w czasach Noego być znakiem na pojednanie Stwórcy z ludźmi, *nawet dorosłym myliły w głowach wszystko* i malec po prostu nie wiedział *w której stronie świata jest jego wieś...* A obcy ludzie, u których po zejściu z wielokolorowej niebiańskiej autostrady szukał pomocy, nawet jeśli domyślali się skąd chłopak pochodzi, zwykle nie oddawali go rodzinie, a zatrzymywali u siebie, aby *na nich pracował za miskę strawy...*

Nie wiem, czy identyczne opowieści snuły moim rówieśnikom ich babcie i matki. Ale ja byłem ruchliwym i ciekawym świata dzieckiem z miasta, poświęcano mi więc dużo więcej uwagi niż moim wiejskim rówieśnikom, a za najlepszy sposób na zapewnienie mi bezpieczeństwa starsi uznali nasycenie mojej bujnej wyobraźni podobnymi opowieściami, mającymi w ich zamyśle ograniczyć moją aktywność i zmusić mnie do unikania niebezpieczeństw...

Ciemne, nieruchome, przydymione śmiercią ślepia owego rogarza wygląda-

łyby niemal jak owoce śliwki węgierki rosnącej na babcinej działce, gdyby nie stada much, które wabiła ich martwa szklistość. Choć nikt mnie o to nie prosił, starałem się – chyba pod wrażeniem majestatu śmierci – bezustannym machaniem gałązkami odpędzać od nich dokuczliwe owady... Choć jeleni miał nieco jaśniejsze ubarwienie, przypisałem go do rodziny czerwonawych Muciek ze względu na ich dość smukłe sylwetki, którymi różniły się one od łaciatych krów i na podobny do jeleniego kolor ich sierści... Martwiło mnie tylko, że zamiast rozłożystych poroży (co uatrakcyjniłoby ich wygląd) czerwonawe producentki mleka miały zwyczajne krowie rogi...

Kiedy spróbowałem omówić ten problem z dziadkiem, odpowiedział mi, że dobrze jest jak jest, bo dla wymyślonych przeze mnie dziwołagów, trzeba by było budować znacznie większe obory, aby tak przekształcone krasule mogły się w nich zmieścić, a i tak nie byłoby pewności czy *takie odmienne* dałyby się do tych pomieszczeń zapędzić. *Wis przecie jak trudno se poradzić z Cyranką, choć ona takich rogów ni mo* – podsumował swoje wywody egzotyczną dla mnie mazowiecką gwarą, co czynił zawsze, gdy poruszane sprawy uważał za trudne. Niestety. Ja to niemal naturalne łączenie się dziadkowych wątpliwości z gwarą zauważyłem i zrozumiałem dużo, dużo później i teraz bardzo tego żałuję, że nie byłem bardziej dociekliwy, bo przecież przez to uciekło w niepamięć zarówno dziadkowe gwarowe słownictwo, jak i niektóre elementy jego duchowego wnętrza...

Cyranka zaś była niemal czarną krową, należącą do rodziców ojca. Jedynie na szyi miała białą plamę. Wraz z innymi krowami należącymi do pracowników przedsiębiorstwa pasano ją na tej wyspie, a trzymano w pegeerowskiej oborze. Kiedy podrosłem, wysyłano mnie po nią, gdy bydło miało powracać z pastwiska. Miałem za zadanie wprowadzić ją do obory, co nazywano *zaganianiem*, i uwiązać na przypisanym miejscu przy żłobie. Ceniłem sobie ten obowiązek i byłem dumny z naszej Cyranki, która musiała mieć cechy przywódcze, ponieważ zawsze szła na czele stada. Do dziś widzę ją w wyobraźni na wiejskiej drodze pod okapem z gałęzi, a żadna inna krowa nie ośmiela się jej wyprzedzać.

I zdaje mi się w chwilach takiego zadumania, że już za chwilę, podczas zakładania na jej rogaty łeb łańcucha, poczuje spokojne ciepło jej wielkiego ciała. I do dziś, kiedy sobie tylko o tym przypominę, staje mi przed oczami babcia, podążająca z wiadrem do wieczornego dojenia. A za kilka lat podczas wakacji strapiła mnie wiadomość, że Cyrankę sprzedano. Pracownicy PGR stracili bowiem prawo posiadania prywatnego bydła, a w zamian przyznano im przydziały mleka z przedsiębiorstwa, którego jednak nigdy nie ceniłem jak mleka Cyranki. Było ono bowiem jakby bezosobowe. Nie miało już w sobie krowiego ciepła i nie trzeba było już tak bardzo zabiegać o każdą kwartę¹⁰ tego pienistego napoju...

10 Kwarta – dawna miara objętości sypkich i płynów (ok. 1,031 l). Mniejszą była kwatka – 0,25 l, większą garniec – 3,27 l.

Staliśmy nad wodą dość długo... Dziadek wydobył z kieszeni pochodzące z alianckich wojennych rzutów blaszane pudełko z angielskimi napisami służące mu za papierosnicę, zapalił, a ja uważnie przypatrywałem się okolicy. Za zielonkawą połącią wyspy szarzało i niebieszczyło się coś, czego kształtów początkowo nie mogłem rozróżnić. A jeszcze dalej, za żółtawymi piaszkowymi ławicami, w które gdzieniegdzie wgrzyzały się jęczory zieleni, niemal na samej kreszczce widnokregu ciemniał zamglony nieco nadrzeczną wilgocią i znaczną odległością rząd topolowych drzew – a za nim, na tle jeszcze odleglejszych pól, odcinających się od siebie odmiennymi barwami, dawało się rozróżnić niewielkie pudełeczka zabudowań.

To jasne tam daleko to Wisła. Za nią są inne miejscowości. Musimy pójść na drugi brzeg wyspy, nad samą wodę, abyś się temu wszystkiemu przyjrzał... – powiedział i zdjawszy z nóg buty o wysokich cholewach, poprawiwszy czapkę maciejówkę, ruszył na bosaka przez płyciznę brodu, podpierając się laską. A w wiele lat potem, gdy nieco więcej z życiowych spraw zacząłem pojmować, zrodziło mi się opowiadanie nawiązujące do opisanych zdarzeń, które zatytułowałem *Wantuła i Stasio*. Ile jest w nim moich dziecięcych przeżyć, a ile zasłuchania w opowieści tamtejszych ludzi? – łatwo da się ocenić.

WANTUŁA I STASIO

Wieś leżała uśpiona. Mgły poranne – od słońca puchnące, pękające na coraz mniejsze białawe obłoki – unosić się zaczęły, odsłaniając poschyłane garbate drzewa, opłotki śpiące jeszcze jak ludzie i odpływały coraz dalej i dalej w dół na łąki, zaczepiając się o bezładnie porozrzucane na soczystej trawie tłuste stogi siana – brązowymi plamami zakłócające wszechobecną zieloność, o skoszone już gdzieniegdzie zboża – pozostawione w stygach na ugorach, aż dotarły do rzeki połyskującej srebrzyście, z daleka niewidocznej, a jednak wyczuwalnej, ze względu na chłód i zapach świeżości niesionej z prądem po kamieniach, łachach piaszczystych i wiklinowych zaroślach.

Nadbrzeżne drzewa – które jak wszystko wokół ledwie co oczy z rosy przetarły, jeszcze obmarzłe od nocnej zimności – szumieć poczęły, a przecież nie dawało się wyczuć najłżejszego nawet podmuchu wiatru. To właśnie osiki – topole drżące – jakby w przewidywaniu burzy zaczynały swój koncert. W ich granie wplatać się zaczęły pospołu: szczebiotania świerszczy, ranne żab kumkania, to znowu plusk opasły, jakim tęgi szczupak ogłaszał wszem i wobec w swym podwodnym królestwie, że noc już się skończyła i pora na łowy...

Wróble – roztrzepańce niesforne i beczelne, choć też i trochę strachem podszyte – rozpoczęły dzień od przekomarzań. *Te zawsze hałasują narobią* – rozległ się gdzieś nisko głos znad samej rzeki. *Ty, Stasiu, śpisz? Śpi jeszcze – mały*

przecie... Frazę zakończyło chrząknięcie... *Gdym ja był mały, w jego wieku... Słowa ucichły zupełnie i dopiero, gdy przyjrzeć się uważnie, nad wodą dojrzeć się dało pochyloną, w starej siwej kurtce, przygarbioną postać wąsatego mężczyzny.*

Mówiła, Wantuła – głupi... Schylił się do ziemi, jako skarbu szukał i do dziś go znaleźć nie może. A garb na plecach został... Nie lepiej to było wziąć sobie babę – gadali. Chłop z was chwacki jeszcze, nie tylko do roboty, to i dzieci byście się może doczekali... A tak? Dziadem żem się został, tego tylko chłopca – sierotę – za swojego mając...

Zaśmiał się ciepło, chrapliwie, basem głębokim, który w chichot jakiś szelestliwy przeszedł, kaszlem się kończąc. Zamilkł potem na długo, na wodę patrząc w bezruchu prawie, rękami tylko z rzadka przy niespokojnym wspomnieniu jakim poruszywszy i... rozmyślał. Przyszedł mu może do głowy ten czas na parę lat sprzed wojen światowych – jeszcze, kiedy tuląc się do ciepłej polepy – skrabem będąc nieledwie – ojcowskich gadek słuchał:

Wiedz, że z pracy jest szczęście wszelkie... I to, co je ludzie na ziemi czasem osiągają, i to, co je mają na wieki święci w niebie... Prawda, że się poniekórym i lepiej powodzi i więcej od innych mają, ale ten tylko prawdziwie szczęśliwym być może, kto się cudzego nie chwyci – jako rzep na psim ogonie. Taki ktoś i potwarz zniesie godnie, i głowę ma prawo jak każdy uczciwy człowiek nosić wysoko, i sen ma zawsze spokojny. Zdzierstwo – synku – radości nie daje...

Był pan na Dziecinowie, bardzo bogaty. Sług się u niego liczyło w dziesiątki. Ziemi miał, że w jeden dzień na koniu galopem jej objechać nie mógł. Złota – podobno – beczki... Tylko chciwy był taki, że się tym złotem nawet ze swoim dzieckiem – dopóki żył – podzielić nie chciał. A starość się przecie człowieka nie słucha i przychodzi kiedy zechce. To i śmierć do niego chybką przyszła i Bogu ducha oddał, nim się komu ze spraw doczesnych spowiedzieć zdołał.

Syn się po nim został jedyny, młody jeszcze, ale mu w głowie zabawy tylko i hulanki były. Zdarzało się, że kmiecią córkę – byle była ładna – do dworu porwie, innemu – żonę zabierze... A chytrzejszy, bardziej skąpy okazał się niżli ojciec, który mu o bogactwie gdzieś to schowanym nie zdążył opowiedzieć. Duży więc chłopów odrobkami, dobytek im zabierał, a nawet to, co ze zwierząt i ptactwa domowego uchronić sobie zdołali, wydierał im siłą, aby tylko więcej z tego Żydom i innym handlarzom sprzedać, zaś pieniądze na hulanki strwonić. No i nieszczęścia sobie napytał...

W roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym biedota – siekiery, kosy na sztorc osadzone, cepy wzięwszy – nie mogąc znieść ucisku, rewolucję zrobiła. Dwór najpierw obłożono. Służba w rozsypkę poszła. Pana, w ostatniej izbie zgoniwszy, cepami tłukli. A wszystko to – synku – za te nieprawości, za zdzierstwo, za chłostę i dyby, do których wsadzać kazał dziedzic kmiotków, co czymś mu

jakoby przewinili.

Potem powstańcy pałac spalili... A ile się przy tym wszystkiego namarnowało! Szał jakiś ogarnął ludzi, że ze stodoły pańskiej, dość daleko ode dworu stojącej, wszyściutkie bryczki i karety powyciągali, dobra na nie nakładli i to wszystko razem do ognia powpychali, zapomniawszy potem oną stodołę spalić... Zresztą, może i nie zapomnieli, a tylko żal im się zrobiło? Chłop bowiem zawsze zboże – i wszystko, co się z nim łączy – uszanuje. Dziedzic potem w tej stodołę mieszkał czas jakiś, bo się cudem chyba uratował i żył, choć wpięć długo i ciężko chorzał. Tylko na głowę mu padło... Zawzięty się zrobił i dla ludzi gorszy bardziej jeszcze, kiedy wichrzących chłopów wojsko carskie wreszcie pobiło.

Prawdę mówił ksiądz Ściegienny¹¹, że biednym – możni jedynym wrogiem. Że dobroć wtedy na świecie będzie, gdy lud się szlachty pozbędzie. Że powstania robić trzeba, aby sprawiedliwość była. Że nie ważne granice między narodami, a tylko te, co ludzi na stany dzielą. Bo tak naprawdę nie może być ani lepszych, ani gorszych, ani lepiej urodzonych, jeśli człowiek ma żyć zgodnie z Bożym słowem. I wierzyli mu prawie wszyscy ludzie ze wsi pochodzący, choć prawdą jest i to, że księdza Ściegiennego wydał Rosjanom przecież taki sam jak ci, o których Złota Książeczka mówiła – chłop z chłopą – co powinien sprawy kmieć bronić, a nawet życia dla niej nie żałować jeśli trzeba...

I prawił potem ojciec o Komisji Edukacji Narodowej i o tym, co wówczas było naszemu krajowi potrzebne, aby go na powrót w Polskę przerodzić. A wkrótce przyszły – pierwsza i druga – wojny światowe... Wcześniejsza ominęła Zagrody niepostrzeżenie prawie, boki jak lis przechodząc. W pamięci ludzkiej pozostało jedynie mdle jak poranna mgiełka wspomnienie potyczki niewielkiej niezbyt licznych rosyjskich i niemieckich oddziałów konnych nieopodal Łękawicy. Z niej to trupy i obrońców i atakujących miejscowi we wspólnej mogile pod Białą Górą złożyli.

Dруга przyniosła nieszczęście. Niestety... Największe właśnie jemu... Stało

11 Piotr Ściegienny (1801-1890) – ksiądz, działacz rewolucyjny i niepodległościowy. Od 1832 roku był wikariuszem w Wilkołazach, a od 1843 roku proboszczem w Chodlu. Prowadził akcję niepodległościową wśród chłopów w Kieleckiem i Lubelskiem. Rozpowszechniał listy i odezwy własnego autorstwa (m.in. Złotą książeczkę, czyli historię rodu ludzkiego, List ojca świętego Grzegorza papieża do rolników i rzemieślników) piętnujące stosunki społeczne i wzywające do walki o wyzwolenie narodowe. Nawązał kontakty z tajnymi organizacjami niepodległościowymi, m.in. ze Związkiem Narodu Polskiego – tajną organizacją założoną w 1839 roku (działającą do 1850 roku) w Królestwie Polskim przez emisariusza Towarzystwa Demokratycznego Polskiego (TDP) J.W. Mazurkiewicza. Związek powstał z połączenia kilku mniejszych organizacji i grup spiskowych, skupiał młodą inteligencję, chłopów i rzemieślników. Lewica Związku Narodu Polskiego (Edward Dembowski, Henryk Kamiński) dążyła do upowszechnienia idei powstania narodowego wśród szerszych warstw społeczeństwa polskiego. Wbrew stanowisku Towarzystwa Demokratycznego Polskiego Związek Narodu Polskiego prowadził przygotowania do powstania, które miało rozpocząć się jesienią 1844 roku. Do wybuchu walk nie doszło, w związku z masowymi aresztowaniami członków Związku Narodu Polskiego w lecie 1843 roku i niewielkim poparciem przygotowań powstańczych. Piotr Ściegienny został aresztowany i skazany na śmierć, ułaskawiony, zesłany w 1846 roku na bezterminową katorgę do Nercyńska, gdzie pracował w kopalniach złota. Po powrocie do kraju w 1871 roku, był kapelanem w szpitalu Bonifratrów w Lublinie.

się ono, kiedy pochodzący z niemieckich osadników właściciel jedynej w okolicy masarni wydał niemieckim żandarmom na zatracenie żydowską rodzinę, ukrywającą się w pobliskim lesie, a podobno przedtem wyłudził od tych nieszczęśliwych ludzi wszystkie pieniądze i kosztowności. I wtedy ta zbłąkana kula...

Tadzio iść musiał w nagonce z innymi. W łańcuchu... Trzech Polaków, jeden szkop z automatem... Szli, trzęsąc się o swoje życie, bo ten spośród Niemców najważniejszy, w czarnym mundurze, w czapce z trupa główką, powiedział, że iść muszą, bo inaczej za wcześniejszą pomoc „tamtych” całą wieś podpalić każe. A oni? – Przecie pomagali, choć przyznać się do tego temu Niemcowi nie zamierzali... Pomagali... Boć Żydzi to też ludzie, choć z ciągłego niedojadania i ze strachu każdego dnia coraz bardziej ogłupiali i osłabli.

Trzymali ich prawie wszystkich, bo nie wszystkich przecie dali radę wyłapać, Niemcy o głodzie i chłódzie za drutami getta w Magnuszewie, jakby było to stado niebezpiecznych zwierząt. Oznaczyli ich wszystkich opaskami, na których były gwiazdy Dawida, jakby ci zmaltretowani ludzie byli krowami czy prosiętami do okolczykowania, a czynili to po to, by każdy z uwięzionych zwątpił nawet w pomoc z gwiazdzonego Nieba... I z tego obozu niektórzy z tych nieszczęśliwych z narażeniem życia czasem się wydostawali, aby dla siebie i dla swoich bliskich coś do jedzenia wyprosić od ludności... Bo Żydom w polskich domach żywności nie odmawiano... Tak było choćby i z tą dziewczyną, która jezioro magnuszewskie, do którego odrutowany teren przytykał, wielokrotnie przepływała. Też jej nie odmawiano...

Aż jednego razu inny Niemiec, kolonista, co znany był wszystkim z tego, że zawsze w żółtych butach z cholewami chodził, urządził sobie na nią polowanie... Stał na mostku i strzelał do niej z karabinu, ilekroć się z wody wynurzyła dla nabrania powietrza. Za którymś razem trafił. A ona się z wody więcej nie wychyliła... Za tę zbrodnię polscy partyzanci go potem zlikwidowali... Zastrzelił zbrodniarza Wiktor, gdy ten znowu po raz któryś zaczął się na swe ofiary przy wąskim przejściu między dwoma bagiennymi rozlewiskami, nazywanym „przełazkiem”.

A podczas owej nagonki na Żydów? Uciekinierzy nie bronili się nawet. O litość tylko prosili, gdy ich wyciągnięto z nor wykopanych w leśnych zagajnikach. Jeden tylko – widać młodszy, zaradniejszy i silniejszy od innych, któremu młodego życia żał się zrobiło – wyrwawszy się oprawcom, na pasącego się na łące konia skoczył i uciekać zaczął. Niedaleko wszakże. Zaraz na motorach zgoniony, na oczach przelętych ludzi miał być rozstrzelany... Jeden huk... Jeden strzał... Jedna kula, która przez skazańca przeszła i dziecko najukochańsze mu zabiła... Wantuła drgnął wzburzony. Zdało mu się bowiem, że wysoko – wałem, który wioski okoliczne przed powodzią ochraniał – powoli ktoś zmierzał.

Tadzio???

Właśnie on tak chodził. Niewysoki wprawdzie, ale długim – kołyszącym się krokiem. Był to dzieciak nad swój wiek roztropny i poważny. Na wszystko odpowiedź prędko znaleźć umiał. Jakże się cieszyli z Rozalią, gdy się im to maleństwo urodziło... Młodzi byli oboje, zbytków niezwyčajni, a dla tej kruszyny jedynej na wszystko się porwać gotowi. Czemu się więc dziwić, że się kobiecie z tego nieszczęścia tak w rozumie pomieszało, że do niemieckiego żandarma – choć to pewnie nie był ten sam, co syna im zastrzelił – z pazurami skoczyła? Zabili ją za to, jako też i Burka, który w obronie swojej pani – z łańcucha się zerwawszy – oprawców gryźć zaczął. A potem wystrzelali wszystkich Sępiów, mieszkających obok – przez podwórze. Z tamtej rodziny została się tylko mała Michalinka, bo na polu jak raz była, a usłyszawszy niemieckie wrzaski i o wiele głośniejsze od nich serie ze szmajserów, przytała się na polu ziemniaków i stamtąd, dziecięcymi oczami, oglądała śmierć swoich bliskich.

Tamta wielka żalność – zbyt ogromna by ją do końca przeżyć w tak krótkiej chwili – w grymasie na twarzy po dziś dzień jej została. Bo człowiek nie wszystko umie z siebie wyrzucić... Bo żal i strach – coś w nas ludziach w środku zabijają. Człowiek staje się nagle jak drewno, jak polana kawał, który podpalić można, można go nawet spopielić – a szczapa do cna sucha, nawet kropelką rosy w największym ogniu nie zapłacie.

A on? Wantuła... Chciał po tym wszystkim odejść z tych terenów, ale nie mógł. Ocalał tam na polu, bo go to jego nieszczęście nagle, przeogromne, całkiem sparaliżowało. Niósł najpierw jak maszyna do rodzinnej chałupy ten ich najdroższy i najśłodszy ciężar i czuł się wewnątrz zimny i twardy jak diament. Zdawał się sobie – przezroczysty... Wydawało mu się, że każdy mógł w nim wszystko jak w czystej wodzie zobaczyć, a on przemówić – nawet skarżąc się – nie potrafił. Nie znalazły również ujścia łzy jego nawet wtedy, gdy wreszcie do domu doszedł i kiedy nowe nieszczęście zobaczył – swoją Rozalkę leżącą bez życia na samym środku podwórza... Siedział potem długo w noc przed chałupą, coś odejmował, coś dodawał, a za nic porachować nawet tych prostych rzeczy wtedy nie był w stanie. Potem w milczeniu zrobił trumny. W milczeniu odprawił pochówki. I rosła w nim nienawiść...

A kiedy Wiktor z polecenia organizacji na masarzu i na tym najważniejszym z gestapowców wyroki miał wykonać, poszedł z nim, bo pójść musiał. Chciał śmiercią tamtych zatrzeć w sobie rozpacz po śmierci i Rózi, i Tadzia. Chciał śmiercią ukarać kata, co mu rodzinę zabrał i wkrótce go ukarał... Ale to mu niewiele dało...

Uszedł po tym wszystkim do lasu, a ziemią, dobytkiem i chudobą zaopiekowali się sąsiedzi. Lecz wszędzie, gdzie by nie był, czego by nie robił, jak wiatr spadała na niego tęsknota. Najczęściej trapiła go w dni deszczowe. Zgłaszał się wtedy do każdej akcji, do każdej najtrudniejszej roboty, bo wiedział, że inaczej

sobie z nią i ze sobą nie poradzi. I tak – niespodziewanie – wrastać mu zaczął do rąk karabin.

W prymitywnych, zwierzęcych warunkach, życie... Przemarsze, zasadzki, akcje... Ale zawsze i wszędzie tęsknota oplatała go znienacka pachnącymi jak wrzos gałązkami nadziei... Wtedy serce swe czuł jakby było ptasim gniazdem, bezpiecznie ukrytym i zakotwiczonym jedynie tu – w Zagrodach.

W takich chwilach zdawało mu się, że wkrótce wszystko będzie lepiej, że los go uszczęśliwi, kiedy tylko do swoich pieleszy wróci. Jakby szczęściem był ogień tańczący pod blachą kuchni, jakby szczęściem mógł być ledwie rozpraszający mrok – a przecież tak stabilny jak ludzkie życie – płomień naftowej lampy... Jakby szczęściem mogła być stara drewnutnia, czy kawałek pola. I wierzył wtedy – chyba wbrew wszystkiemu i mimo wszystko – że kiedy po wojnie znajdzie się u siebie, w cieple ścian rodzinnych odnajdą się jego najbliżsi. Że będzie żył jak dawniej, choć może bez drogich osób, a jednak mniej samotnie. Dlatego zaraz po wyzwoleniu do Zagród wrócił aby tutaj zostać. A w kilka dni potem znowu przyszedł Wiktor i powiedział, że będzie nowa władza, że oni mają stworzyć właśnie tu milicję. I znowu na lat parę wrósł mu do rąk karabin.

Kiedy – już po zdemobilizowaniu – któregoś ranka powalony czymś strzałem na zawsze odszedł z tego świata Wiktor, znów chciał się zerwać do lotu, rzucić to wszystko, wyjechać, zapomnieć... Dlatego nie przyjął dodatkowej ziemi z rozparcelowanych majątków hrabiego Zamojskiego, a został na swoim, niewielkim kawałku, choć mu tą ziemię dawali bez żadnych próśb – z przydziału. Stąd pewnie wzięło się między ludźmi gadanie, że Wantuła bogacz. Jedni mówili: poniemiecki skarb ogromny znalazł, inni – że hrabiowski...

Byli nawet i tacy, co się chcieli dzielić tym jego domniemanym bogactwem, jak choćby Różyński z Osiemborowa, który pewnej nocy zimną, błyszczącą lufę do piersi mu przystawił i ostatnie „Pod Twoją Obronę” odmawiać kazał. A kiedy u niego nic nie wskórał, do Obwódzkich poszedł, bo w ich chałupie mieścił się wtedy sklep wiejski. Właśnie tam go ze starym Władkiem złapali, rozbili i do powiatu zawieźli. Wkrótce się okazało, że to właśnie z karabinu tego przestępcy zastrzelony został Wiktor, że była to zemsta bandziora, który po tym wszystkim, gdy sąd go na śmierć nie skazał i jemu, i Władkowi zaraz poprząsił, iż do końca swego żywota im swojej krzywdy nie zapomni, i póki sił mu starczy, mścić się będzie.

Człowiek jest lichszy od piasku, dopóki nie wie, gdzie i co. Ale gdy cel swój znajdzie, mocniejszy niżli dąb, twardszy niż kamień się staje. A tak niewiele potrzeba... Czasami głos wystarczy jakiś, niekiedy pewność, że w domu cię ktoś wygląda, oczekuje. Że buty ci zdjąć pomoże, gdyś zmęczony po pracy.

Dziadziusiul! – głos dziecięcy znienacka się odezwał. Przyszliśmy oglądać rzekę, a ja zaraz zasnąłem. Nie gniewasz się? Gdzieżby tam. Mały jesteś, to

i niezwyczajny – odpowiedział stary. Jak będziesz większy i urośniesz, to nawet wtedy, kiedy zrobi się najciemniej, bać się nie będziesz...

Jak dziadek? – zapytało dziecko. Słyszałem jak sołtys mówił, żebyś więcej nie stróżował, bo Różyński z więzienia wrócił, a on przecie kiedyś, jeszcze przed aresztem, za tamto się odgrażał. Ja bym też tego nie chciał i straszno mi się robi, że on dziadka ukrzywduje, bo wariat to przecie...

Nie taki on odważny, skoro już raz – karabin nawet w garści mając – tak łatwo dał się złapać – odpowiedział stary. Ale uważać trzeba... Zresztą. Kto by dobytku pilnował? A ludzie, z pracy wróciwszy, mają prawo do odpoczynku. Chcą mieć i sen spokojny i pewność, że nikt ich nie okradnie, niczego im nie zabierze ani im domów nie podpali... A z Bryskiem i trzech Różyńskich się nie boję. Wszak on cielaka, gdy trzeba, zębiskami przez płot przewlecze – odparł śmiejąc się Wantuła.

A ty – Stasiu – popatrz teraz na rzekę. Jaka ona dostojna i jaka piękna. Teraz płynie powoli i szumi leniwie. Ale niech gdzieś w górach deszcze zaczną padać, podniesie się zaraz groźnie, woda w niej najpierw przybierze i wkrótce zaleje tę całą wyspę, którą widzisz przed nami... Pamiętam takie czasy. A jak to było? Zaraz ci opowiem...

Woda zaczęła przybierać latem. I w Wiśle i w okolicznych mniejszych rzekach – w Pilicy i w Radomce. Gdy ogłoszono przez radio alarm, byliśmy właśnie w Brzozie. I tylko co, Radomkę udało się nam przebyć ostatnim autobusem przed powodzią. Jechaliśmy wtedy przez most drewniany, a woda dochodziła już do samych szczytów przesel. Radomka – rzeka zwykle przecie spokojna i niezbyt głęboka – rozlała się szeroko na okoliczne pola i łąki. Płynęła szybko, nurtem szerokim i rwącym, a gdzie tylko na dół jakiś natrafiła, zaraz się tam robił wir, a na jego powierzchni powstawała piana mętna i brudna, niby na ogromnym kuflu piwa, do którego ktoś nieopatrznie strząsnął popiół z papierosa....

Strwożonym mieszkańcom zagrożonych terenów mówiono, że wojsko będzie bronić mostów, aby fala ich nie zabrała. Ale czy ludzie mogą sprostać takiemu żywiołowi? Cieszyłem się z tego, że mieszkam w Zagrodach, bo wiedziałem, że powódź nam tu nie grozi. Że będziemy wśród rozlanej wody jakby na jakiejś wyspie, bo nie może ona wedrzeć się tak wysoko. Ale zaraz po przyjeździe, chcąc zobaczyć czy wzburzona rzeka nas jednak nie zaleje, poszliśmy w kilka osób – właśnie w to miejsce – nad Wisłę. I kiedy tak patrzyliśmy z tego wysokiego brzegu, zdawało się nam, że woda nigdzie się nie kończy. A kiedy zaglądaliśmy w dół, pod nogi, widzieliśmy, że ciągle jej przybywa, bo nagle zginął w nurcie jakiś krzak, jakiś kamień, a te wszystkie wysokie i nieruchome drzewa – jakby wiedzione ciekawością – podchodziły coraz bliżej do tej przeraźliwie ciemnej i zmierzwionej toni, jakby je tam sam czart swą mocą piekielną do

siebie zapraszał... Strasznie było patrzeć na ogromną moc żywiołu. Pomyślałem wtedy, że pewnie podobne myśli miał Noe, kiedy oglądał ogarniającą wszystko siłę powszechnego potopu.

Maciej Deperas – chłop wzrostu i siły niedźwiedzia – co w dwudziestym roku bił się z Rosjanami pod Warszawą i dostał za to krzyż walecznych, a urodził się i wcześniej mieszkał na Syberii, mówił nam wtedy, że Wisła stała się w czas tej powodzi tak szeroka, jak Jenisiej, albo Angara – które oglądał jeszcze jako dziecko.

By wiedzieć jak wielka idzie woda i jak szybko przybiera, wbijaliśmy w ziemię patyki, każdy o jakiś metr wyżej od toni – a potem mierzyliśmy zegarkiem czas, potrzebny do ich zatopienia. Kiedy wreszcie powódź się skończyła, zobaczyliśmy, że patyki te są powbijane w stok o kilka kroków jeden od drugiego. Kiedy zeszliśmy na brzeg spokojnej już rzeki, gałązki te nam pokazały, jak wysoko w tym miejscu wdrapała się Wisła. Dlatego – jak widzisz – na tej wyspie między Łachą a Wisłą nie ma domów, choć ziemia tam jest nadzwyczaj urodzajna. Ludzie jednak boją się tam mieszkać.

Popatrzyli jeszcze chwilę, pogadali. Stary – śmiejąc się z czegoś – dziecko za rękę chwycił i szparko ku górze poprowadził. Wyszli na wał wysoki. Za nim ziemia zapadała się, udając wielką patelnię, na której w porannym słońcu smażyły się zboża złociste, w większości w snopy powiązane, i falujące trawy – szmaragdową zielonością na łąkach podmokłych odróżniające się od innych, a przez nie ścieżka krętymi zakosami ku polom się zbliżała, wędrowników do wsi nieśpiesznie prowadząc.

Z dała, w kępie drzew – brązowością pni od innych się odróżniających – stał budynek nie spory i ale niezbyt mały, okrążony rachitycznym płotem, którego sztachety czerniały jak smukłe wykrzykniki na spłowiałej od słońca, miejscami bladoróżowej, piaskowej karcie. Rzucały na tę kartę cień głęboki, rosnące tuż przy owym domu, gruzłowate malwy. Zatrzymali się obaj, ręce jak na komendę do oczu podnosząc...

Spójrz Stasiu... Tam jest twoja szkoła. Za niecały miesiąc będziesz do niej chodził – odezwał się Wantuła. Już Pani Różycka z mężem się za was wezmą... Byście się tylko chcieli uczyć... Teczkę ci kupimy. Książki i zeszyty już masz, i małowiele, a będziesz się z nich uczył pisać i czytać. I niedługo już dziadek starych oczu wytrzeszczać nie będzie musiał, aby do kogo list napisać, czy coś na gazecie zobaczyć... Za kilka lat, być może i ty – jako ci studenci, co na wieś do roboty w polu przyjechali – do Zagrodów tylko na wakacje powracać będziesz. A ja – stary – pod kamieniem jakimś spokojnie głowę złożę, wiedząc żeś się na inżyniera wykierował...

Z daleka, z prawej strony spod lasku, powietrzem nieść się zaczęło dzwonienie nie powolne, donośne i dźwięczne.

Słyszysz? W majątku do pracy dzwonią. Tak samo – stukaniem w zawieszony wysoko lemiesz – wzywali ludzi do roboty za czasów hrabiego, przed wojną, a pewnie i wcześniej – dziadków naszych – do odrobku pańszczyzny... Za chwilę zobaczysz, jak się zaraz ludziska z domów wysypią, jak wróble, które do ziarna się zleciały, a tą drogą wedle lasu traktor niedługo jeździć zacznie, żniwiarzy na pola rozwożąc. Tyś tego nie oglądał jeszcze, boś mały. A chociaż na wsi mieszkasz od urodzenia, wszystkiegoś niezwyčajny. Patrz wszakże, bo to jest piękno, nad które nie ma cenniejszego. Ukochać je trzeba i pod sercem schować...

III NAGRODA

KRZYSZTOF CHRONOWSKI

LET'S DO THIS!

Samodyscyplina – oto mi wielkie słowo! Inne robią już mniejsze wrażenie. W pewnym wieku ze wzrodu i dobrego pomysłu należy skorzystać w momencie, gdy się tylko pojawi; ani sekundy później, bo może być po zabawie. I hajda, dalej go ucieleśniać, zanim najlepsze stracimy z oczu. Czy można wycisnąć więcej niż udało się innym? Przydajmy mu trzydniowy zarost, wyciągnijmy nogi przed siebie, zapalmy papierosa i zalejmy kawę. Teraz mrok staje się mniej mroczny? Skoro można wszystko, no to lu! Frenetycznie, feerycznie, ontycznie, jambicznie nawet; w górę, w dół, wspaniale, jak kto woli. Ja zawsze wolę w górę. Więźba dachowa rozgrzewa się do czerwoności, a zadymione powietrze można ciąć nożem. Kilka głębszych, broń boże oddechów – dla kurazu, spokojnie, jak na razie panujemy nad wszystkim. Nie ma właściwych miejsc dla takich rzeczy. Czy jest dla nich właściwy czas? Powoli, zaraz wszystkiego się dowiemy. Postać jak to postać, może wymknąć się chyłkiem i tyle ją będziemy widzieć, trzeba więc mieć cugle na podorędziu. Przyjmijmy indeterminizm tytułarny (tj. że tytuł nie do końca koresponduje, czy ja mogę liczyć na zrozumienie?) proszę zachować ciszę, tu się bije pianę! Szarość to podnosi się, to opada, dzień już się tłucze do okien, złośliwie chce nastawać. Może kapkę calvadosu do kawy? Kaczkowaty chód zawsze w cenie, jakże indywidualny, jakże zwracający na siebie uwagę. Oferta ważna do wyczerpania zapasów. Arogancja i apodyktyczność, po co daleko szukać – zaczniemy z początku alfabetu, dalej jakoś pójdzie. B jak buta, C jak cymbał, proszę teraz samogłoskę!, a może i nawet uda się odsłonić wszystkie litery? Kwaśny uśmiech, igła, nic chirurgiczna, wszystko w pamięci i pieczołowicie łączymy głównego bohatera z maską, a tę by czegoś nie zepsuć – ostrożność nie zawadzi – наносimy na twarz. Fastrygujemy – łatwe i proste hafty krzyżykowe – trochę z sąsiada, trochę ze stolarza, o kronikę policyjną też nie sposób nie zahaczyć. Tam to są dopiero ciekawi ludzie. Taaaa. Widziałem takiego jednego szpynia, ostrzyżonego na zapalną bandziorkę wczesnych lat dziewięćdziesiątych, będzie pasował jak ulał. Leciutko go tylko uwspółcześnimy, odpowiednio zadaniujemy, umysłowość, pal sześć, pozostawiam bez zmian. Nie musi być lubiany, nie musi być w ogóle jakiś – musi po prostu być. Tego

od nas oczekują mój skarbie. Nie zaprzątam sobie teraz głowy pocztą. Księży-cowa, czy prostokątna twarz? Dobry wieczór jestem wiarygodność, do usług, czy przypadkiem mnie pan nie poszukiwał, jeżeli tak: świetnie się składa..., ale właściwie to która godzina? Zanim przejdziemy do przekonywania warto same-mu być przekonanym. Czasu odmierzonego *chesterfieldami* nikt już nie zwróci, minus trzy minuty od życia każdy, ale jeśli się opłaci. Krew odpływa i uderza w jedno miejsce. Mamy coś, a to już jest coś. Ucinamy z metra, bez chwili za-wahania, wtedy postura szwarccharakteru jak malowana stoi i tylko głupkowato się uśmiecha, bo wciąż niegotowa. Oblekamy pozoranta w znoszone, niechlujne łachy i wciskamy w mięsiste usta odpychające, plugawe słownictwo. Niech żuje tytoń i niech od niego żółkną mu zęby. Bądźmy otwarci i prostolinijni, nie trzeba nam tu awantury. Nawet w roli demiurga nie można silić się na nie-uczciwość i brak powagi. Czas leci: w kosmate, bochnochlebowe łapy wsuwamy klamkę i łom, patrzy nierozumiejącym wzrokiem, no bo niby co ma z tym wszystkim zrobić? Wiesz co masz z tym zrobić, bo mówię że wiesz co masz z tym zrobić. To w zupełności wystarczy. Nie wolno przestylizować, zmiłowa-nia i patosu ani gram - koleś wali prosto z mostu i to jest w porządku. Opisy oszczędne, a może w ogóle, On sam jedyny i niezastąpiony wystarczy za cały klimat. Lekkie skinienie głowy wyzwała samozadowalacz. Chmura wypełnia płuca, jest lepiej niż można się było spodziewać. Jednak, cóż to? Nie ma mowy o aklamacji! Skryba kameleon raczy sobie żartować, tynfa to wszystko niewar-te. Przestań spazmatycznie dygotać, tylko szukaj dalej! Było nie było TO prze-cież też jest stanowisko. Z rezerwą odnosimy się do pogoni za trendem, jednym czy drugim, to bez znaczenia - *you have to find your own way, homie*. Kopia mistrza, nawet najbardziej udana, pozostaje tylko kopią. Koniunkturalizm nie jest nam pisany, a jeśli nawet, to w te pędy się z niego wypisujemy. Rzekłem i nie ma od tego odwrotu. Co to biskwity się skończyły!? Tutaj pryncypialnością i tylko pryncypialnością możemy sobie choć trochę dopomóc, lecz nie wystarczy dla wszystkich. Można się załamać. W najważniejszym momencie Roman Brat-ny taksuje nas spojrzeniem. Nic nie pomaga bardziej, nawet te tabletki, dzięki którym nie spędzasz całych wakacji na sedesie stają się gównem warte. Szklanka znowu jest za daleko. Ujmij w karby rozbiegane oczka! Patrz na klawiaturę czy co tam masz przed sobą, ale uważnie do cholery i nie rób tych durnowatych à la j-e-s-t-e-m-t-a-k-i-r-o-z-k-o-j-a-r-z-o-n-y błędów. Papier przyjmie wszyst-ko, lecz w imię czegokolwiek - trochę szacunku! Jak coś nie jest niczym in-nym, niż tylko picim na wodę i fotomontażem, to czy nie warto tego porzucić? Dobrze mówisz głosie, dobrze, dobrze; wybieram więc kandydata numer dwa! Nie bądźmy w gorącej wodzie kąpani; spuśćmy z tonu, na parę chwil tylko dla schwycenia wszystkich spierdalających myśli; może pod zamkniętą powieką coś nam się wreszcie objawi. Ile można wstrzymywać oddech? Zdechnę posiniały

na mordzie jak Kosiński, a wszystko się urwie w kulminacyjnym momencie. Zaaaraz, zaaaaraz, coś jednak, ha! wypełnia palce od wewnątrz. Dobra, a może więc całkiem, ale to całkiem inaczej. Kontrapunktowo. Zrobmy z tym pomysłem to na co zasłużył: Schluss, było nie ma, koniec i bomba. Znowuż mamy gołą jak święty turecki masę plastyczną – nic tylko rzeźbić, dziergać, układać i przekładać; porażkę trza nam przekuć na sukces. Teraz musi być potoczyście. Wystrzeliwujemy jak z pepeszy kaskady wygładzonych, na tę okazję świeżo wyczelowanych słówek, chwytamy nimi czytelnika za gardło w bezkompromisowym uścisku i już nie puszczamy, aż do chwili, gdy ostatnie z nich spłynie Mu po czuprynie. Zmyjemy Mu głowę słowem. Słowem zrodzonym z myśli, a więc myślą, mową, uczynkiem i niczego przy tym nie zaniedbamy. Niech tym razem będzie człowiekiem sukcesu, na który zawsze jest moda i pogoda, urodzonym, bogactwo przy okazji, a przez aortę przepuścimy mu kobaltową posokę. Na razie było na pół gwizdka, dobra, teraz dopiero sobie popołgujemy. Tym razem ubierzemy go jak choinkę; a buty wyglansujemy szuwaksem tak, by nikt nie miał wątpliwości. Uyvesaintlaurencimy, wydiorujemy, bezwzględnie perłowe spinki do mankietów, a łeb opróżnimy ze zbędnych myśli i wypomadujemy aż do przesady. Garnitur bez zarzutu *sensu stricto*, G. zębów *sensu largo* – pełna klawiatura od a –moll do fis-dur z dopełniaczem wybielaczem. Czy Renoir nie ma tej, no jak jej tam było, tej no... głębi, a poza tym to zwalnim pana i życzę wszelkiego powodzenia. Nie ma sprawy i ku chwale ojczyzny, wszyscy wiemy jak jest. Nie! Jeszcze inaczej. Koniec tej burleski! Ściągaj to wszystko! Ale już! Zegarek również! Tam, dokąd cię zabieram na nic się już nie przyda. Raz, raz, nie mamy całego dnia! Wkładaj co przygotowałem! Co tym razem? Spokojnie, tylko bez nerwów, mam cię teraz w garści, więc słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać, ode mnie i tylko ode mnie zależy czy spali cię słońce, czy może zasiądziesz na ławie oskarżonych, Anuszką już wylała oleju na trotuar... Jeszcze jedna szklaneczka, poprawimy jutro, tymczasem jedziemy dalej. Przecież możesz być kobietą, nigdy nie było to takie łatwe jak dziś, traaaach; że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wcięcie, intertekstualna lokówka, metatekstualny sopran koloraturowy i *viola* – primadonna pierwszego sortu; podkrążone oczy, nie ma to tamto, zostają!

Ale cóż to, pozwalamy sobie na *votum separatum*; wycofujemy się w głąb planu? Co to właściwie ma znaczyć!? Co to za mina? To kim chcesz kurwa być: durniem, blagierem, krogulcem, czy młotkowym; zdecyduj się w tę albo we wtę! „Twórca” jeszcze przygrywa, podpajacowywuje, bo łudzi się, że coś jeszcze tym osiągnie, bez przerwy umizguje się, aż pot wstępuje mu na czoło, staje się żalosny w swej układności, lecz znarowiony protagonista ani myśli ulegać jego dobrej woli. Kto tu się wcina? Ach, to Pan, Panie N., jest Pan cokolwiek spóźniony. Cóż począć, gdy naszemu wszystkiemu nie w smak paktować?

Z dagerotypu, w który wbrew swej woli został wmontowany, wyrywa się na bardziej zielone pastwiska. Chce być kimś innym, chce być kimś, przecież ludzie się zmieniają. Ale czy protagoniści się zmieniają? Patrzcie go - on chce o sobie DECYDOWAĆ! Czy ktoś to zapisał? To jest gruby nietakt. Rozeźlony wykrzywia swoje wymyślone oblicza, opędza się wszystkimi już napisanymi i jeszcze nienapisanymi rękoma. Ale go cholera wzięła!, no kto by się spodziewał! Zabili go, ale uciekł.

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MAŁGORZATA BORZESZKOWSKA

PAN K I UPÓR

pan K uporczywie starzeje się.
słońce przetacza się z dnia w dzień nad panem K
coraz bledszym, osypującym się w przyszłość coraz wolniej.
gdy kroczy od poniedziałku ku sobocie zostawia za sobą piaskowe ślady,
mandale na szarym tłach chodników.
upór pana K w kwestii starzenia trąci szaleństwem,
jak naftaliną trącą jego szafa, komoda i pamięć.
z poduszek opada na podłogę szare pierze
uaniela pana K, choć tylko z lekka, z lekka.
coraz lżejsze są też jego myśli -
panu K udało się pozbawić niezapomniane ciała głów,
zostały tylko linie pleców i łydek delikatnie pajęczce,
z kolei głowy prawie już niebyłe unoszą się ponad panem K jak wesołe piłki
z mocno zaciśniętymi ustami i wydętymi policzkami,
odcięte od słów fruną baloniki bezmyślne, zgilotynowane przez pana K.
Czasami pojawiają się samotne dłonie o długich palcach, grają zwiewną muzykę,
rysują dźwiękiem wzory w kolorze ecru.

Pan K starzeje się, przesypuje z dnia w noc piaskowym strumyczkiem,
a gdy podchodzi już do krawędzi snu
nad głową zakwita mu rozkołysany, zakrzywiony księżyc.
pan K zakłada księżyc na jedną stopę, drugą odpycha się od siebie,
sunie po czarnym lodowisku, omija jaskrawe pułapki.
Wtedy na krótką chwilę odrastają głowom ciała,
dłoniom ramiona, twarze odzyskują rysy.
Nad ranem z reguły potyka się o lawendową miękkość poduszki
i znów w świetle dnia,
zdziwiony, wypłukuje spod powiek
zapomniane cienie,
niezgrabnie poukładane puzzle,
ziarnka piasku

OKNO

chciałabym mieć takie okno
okno - jak oko szeroko otwarte,
zdziwione urodą poranka,
z powieką koniakowskiej koronki

takie okno z pelargonią i miętą,
bazylią w drewnianej skrzynce,
szeroko rozłożonymi skrzydłami okiennic
(czy widziałeś kiedykolwiek uskrzydłone oko?)

wkoło okna zbudowałbyś dla nas dom-
drewnianym ciepłem obłożyłbyś maleńkie szybki,
a każda jak kryształ, okruch baśniowy
z widokiem na las, łąkę, potok,
na gruszę wysoką do nieba,
a najważniejsza - mieniący się, srebrzysty kalejdoskop-
układałaby nasze dni w zawiłe wzory radości i smutków

chciałabym mieć takie okno
z modlitwą w doniczce, kotem na parapecie,
malwami, podpierającymi codzienny dom,
i nami, wyrzeźbionymi w świetle,
na ławeczce pod oknem
z tej, albo zupełnie innej bajki

GDYBYM MOGŁA?

gdybym mogła zawrócić dzień
zza horyzontu
gdybym mogła otworzyć dłonie
i wypuścić z nich słońce
czerwone i pachnące maciejką
przyszyć maki do szarej linii widnokregu,
rozetrzeć nad nim fiolet i pomarańcz,
tu i ówdzie dodać dobre słowo,
cichą melodię wieczorną,
oprawić w ramki

gdybym tak mogła,
czy wziąłbyś mnie znów na własność,
razem z udomowionym nieboskłonem,
makami i nadmiarem rumieńców?

a może jednak nie?
może nadal musiałabym sama sadzić drzewa
i bez końca ścigać pusty horyzont

WYSNUWANIE ŻYCIA

nie umie odpiąć się od życia
sprawny krawiec przyszył go
do codzienności overlokiem
supełkami splątał zapiął na zamek dokładnie
każdy guzik trzyma mocno
za mocno nawet
tyle lat uzbierało się w kieszeniach
wnuki dyplomy duchy żon i rachunki za obecność
a każdy z nich to sprzączka i zaszewka na istnieniu

nie potrafi wypiąć się z życia
szpilki pozostawione w kołnierzu
coraz częściej wbijają się w pamięć
uwierają boleśnie szyję

trzyma się prawie prosto nieruchomieje
nie może już nawet odmawiać Bogu
pokręcić głową prawo-lewo
nie może wzruszyć ramionami
w przyciasnym żywocie

nie jest w stanie zerwać siebie
z manekina na którym od lat wisi
lecz czasem gdy nów cisza
i żarówki kończą bieg
w tajemnicy przed krawcem
z ciemności wysnuwa nitki
jedna po drugiej

w ciszy
jedna po drugiej

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

LESZEK WOŁOSIUK

ODWRÓCONE PŁUGIEM SKIBY

Odwrócone pługiem skiby
bronuje deszcz i słońce.
Spracowane dłonie
częstują ziemię pomorską

ziarnem z kłosów naszych
Matek i Ojców,
związanych w snopkach
z morenowych wzgórz.

Spracowane dłonie głaszczą
poletka Pana Boga,
zraszane kropidłem
z bałtyckich chmur.

Pozostawiam wspomnienia
smaku wiejskiego chleba
z ziaren żyta ojca,
z kadzi drewnianej, od matki.

Całuję ich dłonie
w zapachu kołyski.
Zbieram ziarenka ziemi
na poezję z chabrami.

Zapisuję wiersze
babci i dziadka,
schowane w korzeniach
drzew błękitnej pradoliny.

GDZIE SCHOWAĆ TAMTE WSPOMNIENIA

Gdzie schować tamte wspomnienia,
purpurowe słońce, uśmiech dziecka,
poranną rosę, mleczną mgłę,
utkaną drogę kroplami deszczu.

Gdzie schować łzy matki
spadające na kwiaty nadziei
dla życia zrodzonego wczoraj,
dziś zbierającego
kwiaty jesieni.

Gdzie schować moje zmartwienia,
widząc biegnących przed siebie
bez kwiatów naszych bzów,
bez miłości majowego dnia.

Szukajmy naszych tradycji
w konarach wiekowych drzew.
Szanujmy gniazda naszych ptaków,
tam znajdziemy schowane
wspomnienia.

SKARBY PRZYRODY BŁĘKITNEJ KRAINY

Żółty zawilec wita wiosnę.
Wawrzynek przyjemnym zapachem
zwabia zwierzęta i ptaki,
w ciszy rozmawiają szpaki.

Biała konwalia ozdobiła
zielone dwory parków.
Drozd śpiewa zakochanym,
wtóruje samczyk rudzika.

Kukułka kuka dla szczęścia.
Złotogłowe lilie ozdabiają
kwiecisty dywan,
obszyty żarnowcem żółtym.

Słońce muska ciepłem
piękne żółte kosańce.
Błękitny wielosił,
wśród łąkowych traw,
ozdabia dom czajki.

W połodowcowych stawach
grąźel wyrasta.
Pływają kaczory krzyżówki
wśród trzcinowych zakoli.

W pejzażu bagienne moczary,
ozdobione czermienią błotną.
Widać jagody żurawiny,
słyszać żurawi śpiew.

Wrzosowe ścieżki kwitną
barwami tęczy.
Tu grzybiarze wędrują
z koszami borowików.

Spacerując leśnym szlakiem,
zobaczmy sprytną wiewiórkę,
w zielonych gałązkach sówkę,
piękne brzozy, sosny i dęby.

W krainie motyli kolorowo,
z rusałką pawikiem
w kwiatostanie
czercikęsu.

Podróżując krainą zobaczmy
kwitnące lipy i pszczoły,
kochających przyrodę
marzycieli.

W ZAPACHU LIP

W perspektywie drogi,
lipy podają ręce.
Pachnące kwiaty
pszczoły całują namiętnie.

Szmerzą do siebie
o przyjaźni i miłości
dla spacerujących drogą
romantycznych gości.

Zapach kwitnących lip
wyznacza horyzont
z połaciami zbóż
lęborskiej krainy.

Z lasem pachnącym,
gniazdami bocianów,
wstęgami rzek,
kwitnących rzepaków.

Historia spina historię.
Drzewa splatają korzenie.
W tradycjach pomorskich
kwitną ziarna ziemi.

Spacerujcie w ciszy
kaszubskich jezior,
w błękitie Boskich chmur.
Trzymajcie ziemię
dla pokoleń.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

MARIOŁA KRUSZNIEWSKA

SKARGA ŚW. FRANCISZKA

Chryste
coś Ty zrobił najlepszego

patrz
mam dziurawe ręce
a tu trzeba pracować Panie
nie święci garnki lepią
i manna dawno przestała spadać

jakże mam wznosić Twoje królestwo
kiedy kielni nie utrzymam
powróśla nie ukręcę
czystej szaty nie utkam

przecież mogłeś przedziurawić tylko bok
ukryłbym pod tuniką
przed zawistnymi niedowiarkami

kto teraz bez lęku poda mi dłoń
jakże błogosławić dzieci łamać chleb
głaskać psy

chcę objąć cały świat
a mam związane ręce
Jezusie Nazareński

bądź wola Twoja

DO CIEBIE PIEŚNIĄ WOŁAM PANIE*

widziałam nogi
które nie zrobiły ani kroku
widziałam zastygłe w srebrze ręce
niczym martwe motyle przyszpilone
wokół Świętego Wizerunku
widziałam ale nie uwierzyłam
i nie będę błogosławiona

słyszałam o pewnym mężczyźnie
który przejrzał na oczy
gdy je obmył wodą ze studni
u stóp glinianej Madonny
słyszałam że zadziwił się światem
a to świat zdumiał się nim
nie wierzę własnym uszom
i nie będę błogosławiona

*Jak wielkim jest Pan mój i jak dobrym!
Ściąga ślepcom bielmo z oczu, daje siłę chromym.
Spichrze łask rozsiewa Swoją szczodłą dłońią
Tym, co uwierzyli, tym, co się Go boją.*

zaśnij mój dorosły synku taka ładna melodia
może jutro obudzisz się bez tego przyrośniętego
uśmiechu
za to z odrosłymi nogami
staniesz koło mnie i powiesz zwyczajnie
jakbyś to robił od zawsze *mamo*
On pobłogosławił tobie

*Bogdan Loeb

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

WANDA LEW-KIEDROWSKA

ÒNA

Miłota dobiwô wëżawów,
Wanożi do gwjôzd.
Midze blónama òstówô
Ji pòmion.
Nie òblaszczëwiła lësa,
Spôdô na zemiã
I wanożi
Bezdrożeszczama
Szëkajacô
Môlégò Ksãca.

Milniô, błądzieszcze, labirint ...
(dlô òstrzedzi!)
Schwëcony za ręce
stówôta przed wëndzenim, we dwòje,
z nôdzejã
że gdzes żdaje na waju
parpacë kwiata.

Wchôdôta wesoło, radosno
pòspiewôta krokù, bò ...
droga je prostô, letkô.
W tim
stówôta na rozestajach,
gdze wlezc, co wëbrac ...
prawò, lewò, prosto, w górã, w dół?
Niech zadecëdëje
kawel slepi.

Le chùtkò, w przódk
I zabëlë jesta nitczy Ariadnë.
Znów mùr.
Szarpanina, nié tądka!
Bijeta głową mùr,
kòzdi w jinszim môlu,
le głową mùru nie przebijeta.
Pò òmackù szukôta, błądyta.
Braknie mòcë.
Znów tama, le wëższò.
Bëlë tu jinszi,
je widzec jich szlach.
Wątpita.
Kwiatu parpacë ni ma!
Òstòł leno zwiãdli lëst.
Milniò, błądzieszcze, labirint...
Labirint żëcgò.
Zasztëkónë.

NI MA CE

Zgasł wid w Twòjim òknie
Smrok wieczny nocë òbwinął Twòje dodóm
Gromicznikòwi chłód wkròdł sã do Ciebie
Òbjął swòjim ùscësnieniem
I zwiornął z zemsczi dolënë.

Czej nadéńdze zymk
Nié dlò Ce
Zazwòniã biélą pòdsniéżczy
Nie ùczëjesz klekòtaniò bòcónów
Nie pòliczisz młodëch w gniòzdze.
Fòrsycjò zlotã òbleje wietewczy,
Chtërne ju Ciebie ceszëc nie bądą.
Z Sakramańtã Chòrëch
Òdeszła jes...

Dzysô
Kòt szukô Ciebie pò pùstëch jizbach,
Pò chtërnych le cëchòta bezszelestno sã snëje.

Òstalë sprzãta, òdjimczy i ruchna,
Niezadóné pëtania i nieuczëté òdpòwiedze.
Delë Ce zark
Tak mało, malinuszkò.

Të jes wżãła pòd pazëchã
Fùlné lónkò zrobialëch dniów
Nafùlowónëch jiwrã,
Dobrotã i Miłotã.

I za to
W Rajsczych Ògrodach
Bògù na chwałã
Ùprawiac mdziesz
Nòcëdniészë kwiatë
A Òjc Miłoserny òdwiedzôł Cã bãdze.

Óbsëpiesz kwiatama,
Chtërných tam pòtkòsz

.....

I
Żdac mdziesz... na nas

Rozwieszóné na jigłach
srëbrné krople lata
przëszpiloné do chòjnowi żëwicë
zybùją sã w letëchnym
tchnienim wiatru
broniã sã przed
slédnym ùpòdkã
ùpòdkã
na spragłą zemiã
bë rozplënac sã
w niebëcé

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO ZRRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

ELŻBIETA BUGAJNA

JAK PÙPCZI NA LINCÉ

czedë słuńce gasnie
smrok òbjimô zemiã
mieszkańcowie mòji ksążczy
zaczinają wësniöné żécé

wëmëszone pòstacje w mòji głowie
krãcã sã jak pùpczi na lincé
żëją miłotą, bólã, ùcemiãgą
wkół i wkół òd nowa

jich zdrok pòdnôszô sã w górã
żdają na zemsczé szczescé
przindnotã maklają w dôce
za scaną z teleòbźernikama

swiat krący sã jak dzecynny bączk
nie je wiedzec skąd i gdzie
a méster w niewiadomëch ùdbach
téż jak ne pùpczi pòdnôszô zdrok

ZAPEZGLONÉ NITCZI

czëjã smùtk
bezwseczëcé jakbë
zapezgloné nitczy lata
skùńczalë sã dobré czasë
czas do robòtë jic
ni ma gdzie sã skrëc
ùtacëc w cemnëch nòrtach
cali rok bez mała
nieznójno
a w sercu téż teskniączkã
zabëc sã nick nie dało
pewno zdrzisz na mie z górë
co mëslisz nie wiëm
mòże wëcygòsz rãce
biegùlkòsz malinkò

GLÄBIÒ LËDZCZICH SERC

gläbiò lëdzczych serc
skriwò trójno krëjamnotów
wejle szòleją walë
gòrzi sã mòrszczi bózk
jegò swiat dżinie pòmälë
w pòmionie ùszlëch stalatów
wejle szòleją lëstë
jesënnã szëją dekã
mòże w nią skrëjã mëslë
nipòcé jak mòli luntrus
wejle szòleją słowa
ùtkané z babiégò lata
bò zëcé to wiedno darga
przék wiòldzi pùstini
wejle kùnczi sã czas
na zemsczych stegnach pielgrzima
pracharskò krëczew w rãce
i kòrczi a miech na pùklu

NA PÙSTI ZEMI

widzący
na pùsti zemi
skrwawiony òd zabitéch
zabëtëch bez swiat
òni zdrzą w krëjamnotã
zakrętą dlô òczu

spiewają slëchińcowie
tuńcëją na tczã
grzëchë nëkają prëcz

naje stalaté mô widzóné
mòrdarstwa i hekatombę
na ti zemi spòlony ògniã

Mariji dzecë
skòkają sobie do òczu
wëdzérają brzòd robòtë
zdrzący jak głodné wilczy
rozwlekają gnòtë

na ti zemi głos widzącëch
czëc je strzód gwòłtu swiata

pòd górã
na kamiannëch stãpniach
wchòdają

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU
www.biblioteka.lebork.pl

Rysunki
Wiktoria Radecka

ISBN 978-83-60731-19-2

Wydano nakładem:
Miasta Lęborka
Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

Projekt składu i druk
DRUKARNIA BOXPOL
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel./fax 59 842 43 71
e-mail boxpol@post.pl
www.boxpol.pl

